Rok 4. Kraków, dnia 20 Lipca i 5 Sierpnia 1885 r. Nr. 14. i 15.

PRZEGLĄD
LITERACKI I ARTYSTYCZNY

pismo poświęcone literaturze, sztuce i sprawom społecznym.

Księgarnia K. Bartoszewicza w Krakowie

wydała oraz otrzymała na skład główny następujące dzieła:

Anczyc Wł. Dzieje narodu węgierskiego popularnie opisane z rycin. —·40

Asnyk. (E-ly) Cola Rienzi; dramat historyczny z XIV. wieku w 5-ciu aktach oryginalnie napisany cena 2 złr. zniżona 1·—

— Trubadurowie. Kraków 1872. —·20

Bajron. Don-Żuan w haremie, tłum. Edward Porębowicz. Kraków 1882 —·30

Bartoszewicz Juljan. Historya literatury polskiéj, wydanie 2 pomnożone i tańsze. — Kraków 1878. 2 tomy 7·—

— Historya pierwotna Polski, pierwsze wydanie z rękopisu 4-ty. Kraków 1879. 14·—

— Szkice z czasów saskich. Wydanie 1. Kraków 1880. Treść:

Kropińscy, obrazek sejmikowego życia. Grandmuszkieterowie Augusta II. Kampement w Warszawie. 1732. Sprawa Karwickiego. Pan Bystry. Dzieje niewiasty polskiej. Koronacje obrazów świętych. Ignacy Bohusz, późn. sekretarz konfed. Barskiej. Karol XII. w Warszawie w roku 1702. Warszawa w r. 1705. Ks. Wincenty Santini, nuncyusz w Polsce. 1721—1728. Systemat Karwickiego reformy Rzeczypospolitej w roku 1706. 3·50

— Studja historyczne i literackie. Wydanie 1-sze. Kraków 1881.

Treść tomu 1-go: Helena Iwanówna, żona Aleksandra Jagiellończyka. Stary poemat o Gdańsku. Krystyna Poniatowska (przyczynek do dziejów braci Czeskich w Polsce). O nuncjuszach w Polsce. O dochodach króla Stanisława Augusta. O przedrukowaniu Voluminów Legum 1732 r. O nowem wydaniu sag skandynawskich. Kniaź Kurbski na Wołyniu. Summy neapolitańskie. Kronika pałacu Krasińskich. Podróż Regnarda po Polsce. O bibliji reimskiej. Mikołaj Jemiołowski jako historyk. 3·50

Treść tomu IIgo: Elekcja Michała Korybuta. Księga kapturów rzeczyckich. O kasztelanie brzeskim Matuszewiczu jako poecie. Chazarowie i Połowcy. Ks. Wojciech z Konojad Dembołęcki. Starania domu Rakuskiego w XVI. wieku dla pozyskania korony polskiej. Kasztelanja Połaniecka Kochanowskiego. Poselstwo księdza Jędrzeja Załuskiego do Portugalji 1674 = 1676. Podróż bezimiennego księdza francuzkiego do Polski za Jana Sobieskiego. Konstanty Świdziński i jego wieczysta fundacja. Hetmaństwo. Teatyni w Warszawie. 3.50

Treść tomu III-go: Warszawa i Kraków, jako stolice. Jan S. Jabłonowski i jego dzieło: Skrupuł bez skrupułu. Prawo o elekcji. Bitwa pod Beresteczkiem. Księga protokółów franciszkańskich prowincji ruskiej. Mazowsze-Mazury. Wawrzyniec Słupski Bandura, kandydat do korony polskiej. Co znaczyła i gdzie była Ukraina? Anna z Sapiehów Jabłonowska. Czy Przecław Lanckoroński był hetmanem Kozaczyzny. Kniaziowie i Książęta w Polsce. 3·50

Cena 3-ch tomów razem 10.50

Bartoszewicz Juljan. Anna Jagiellonka, 2 tomy razem Kraków 1882. 3.50

— Szkic dziejów kościoła ruskiego w Polsce, wydanie 1-e Kraków 1880. 4·—

— Pamiętniki Krzysztofa Zawiszy, Wojewody Mińskiego. Warszawa 1862. 2·50

— Kniaż i Książę. Kraków 1876. —·60

— Zamek Bialski, historya miasteczka, obrazy z życia magnatów. 1881. Lwów 2·25

Bartoszewicz K. Małpa - człowiek, nieznana satyra z XVIII. w. (odbitka z Ateneum) —·50

— Życie Jana Kochanowskiego, treściwie zebrane Kraków 1883. —·20

— Dwadzieścia kronik Przeglądu literackiego i artystycznego. Kraków 1883. —·80

Bełcikowski. Wieczór w Czarnolesiu, scena liryczna Kraków 1882. —·20

Beranger. Piosnki w tłumaczeniu L. Kozłowskiego (w druku).

Bodzantowicz. Rodzina konfederatów. Puławscy. Lwów. 1869, cena 3 złr. zniż. na 1·50

Buliński. Historya kościoła polskiego 3 tomy. Kraków 1873. cena 12·—

Buszczyński. Ameryka i Europa, studium historyczne i finansowe z krytycznym na sprawy społeczne poglądem. Kraków 1876. cena 5 złr. zniż. na 2·50

— Sądy cudzoziemców o Polsce i jej walkach z zaborcami. Kraków 1883. —·50

Chołoniewski ks. Pisma pośmiertne 2 tomy. Lipsk 1854 cena 5 złr. 40 ct. zniż. na 1·20

Dzieduszycka Anastazja. Listy nauczycielki. Kraków 1883. 1·—

Dzieduszycki Izydor Dr. Patrjotyzm w Polsce. Kraków 1882 i 1883, 2 części 1·—

Dzieduszycki hr. Maurycy. Żywot Wacława Hieronima Sierakowskiego arcybisk. lwowskiego. Kraków. 1868 cena 2 złr. 40 ct. zniż. na—·80

Flaubert Gustaw. Córa Hamilkara (Salambo). Kraków 1867 (na wyczerpaniu) cena 2 złr. 50 ct. zniż na 1·—

Grudziński St. Idealista, poemat fantastyczny. Kraków 1871 cena 60 ct. zniż. na—·20

Heisig. Przewodnik do rysunku cyrklowego i linijnego, jako wstępna nauka do geometryi wykreślnej, rysunków architektonicznych i t. d. Kraków 1875 cena 2 złr. 40 ct. zniż. na 1·20

Hoflmann A. W. Wstęp do nowoczesnej chemii, przetłomaczył z 5 wydania niemieckiego L. Masłowski. Kraków 1875 cena zł. 3.50 ct. zniżona na 1·50

Dr. Jordan. Nauka położnictwa dla użytku położnych 2 tomy. Kraków 1879 (na wyczerpaniu) 4·—

Kasprzycki. Geografia początkowa cena 75 ct. zniż. na—·30

Kraszewski - więzień i Niemcy Kraków 1883 —·30

Kochanowski Jan. Pieśni i treny. Kraków 1883 —·50

— Fenomena, Muza, Satyr, Monomachja. Kraków 1883 —·40

— Odprawa posłów greckich, Szachy, Dziewosłąb, Zuzanna, Broda, Marszałek, Zgoda, Epitalamium, Proporzec, Wtargnieniedo Moskwy, Pamiątka. Kraków 1883 —·50

— Fraszki. Kraków 1883 —·40

— Fragmenta, Wzór pań mężnych, Wróżki, O Czechu i Lechu, Wykład cnoty, O pijaństwie, Apoftegmata. Kraków 1883 —·30

— Psałterz Dawidów. Kraków 1883 —·80

— Rymy łacińskie w tłomaczeniu Brodzińskiego i Syrokomli. Kraków 1883 —·80

— Dzieła. Wydanie kompletne w 4-ch tomach, zawierające wszystkie pisma polskie Kochanowskiego, oraz dzieła łacińskie w tłomaczeniu Syrokomli i Brodzińskiego. Wydanie uznane za najlepsze ze wszystkich dotychczasowych, z dodaniem życiorysu, facsimile i portretu poety podług pomnika w Zwoleniu. Kraków 1882 3·20

— toż samo w oprawie w płótno ang. 4·80

Koziebrodzki. Klaudja, dramat. Kraków 1871 —·40

Krasicki Ignacy. Bajki i przypowieści. Kraków 1883 —.20

— Satyry. Kraków 1883 —·30
— Wiersze różne i wiersze z prozą. Kraków 1883 —·40
— Listy. Kraków 1883 —·10
— Myszeis. Kraków 1883 —·20
— Monachomachja i Antimonachomachja. Kraków 1882 —·20
— Wojna Chocimska. Kraków 1883 —·20
— Pieśni Ossyana. Kraków 1883 —·30
— Przypadki Mikołaja Doświadczyńskiego Kraków 1883 —·50
— Historja. Kraków 1883 —·50
— Pan Podstoli. Kraków 1883. 1·—
— Komedje. Kraków 1883. 1·—
— Dzieła w 5 tomach z portretem. Kraków 1883. 4·—
— toż samo w oprawie 6·—

Kraszewski J. I. Tomko Prawdzic, wierutna bajka. Lwów 1866. cena 50 ct. zniż. na—·25

Lipiński Tymoteusz. Pamiętniki z lat 1825 — 1831, Kraków 1883. 2—

Łoziński Wł. Galiciana. Lwów 1872 cena 1 zł. 50 ct. zniżona na—·80

Mill John Stuart. O rządzie reprezentacyjnym, przełożył na język polski G. Czernicki. Kraków 1866, cena 2 złr. 40 ct. zniż. na—·50

Müller Max. prof. Religja jako przedmiot umiejętności porównawczej, Kraków 1876 cena 1 zł. 20 ct. zniżona na—·60

Dr. Müller Karol. Świat roślinny, dzieło poświęcone miłośnikom przyrody z 400 drzeworytami. Kraków 1867 2 tomy 4 złr. zniż. na 2.50

N emcy czy Moskale. Kraków 1881. —·25

Nowelle. Zbiór nowelli: Dickensa, Daudeta, Puszkina Copeé'go, Turgeniewa, Kulisza, Elizy Polko, Jokaja i t. d. Kraków 1883. 3 zeszyty. Każdy zeszyt po —·50

Okoński. Niewinni i Antea, dramaty. Kraków 1876. 1 złr. zniżona na—·50

Opaliński. Satyry. Kraków 1883 (w druku). —·80
— toż samo w oprawie 1·20

Pawlikowski. Tajemnica pani Krzuckiej, nowella, Kraków 1876. —.75

Pieśni polskie, zbiór ulubionych pieśni patrjotycznych. Kraków w r. 1883. —·60
— toż samo w eleganckiej oprawie 1·—

Pol Wincenty. Obrazy z życia i natury 2 tomy, 4 zł. zniżona na 1·60

Przewodnik po Krakowie (najnowszy) z dołączeniem planu miasta, informacyj, adresów. Kraków 1882 —·60
— toż samo w oprawie —.60

Rovani. Młodość Juliusza Cezara, opowiadanie z czasów rzymskich. Kraków 1876. (wyczerpane)

Sabowski. Józef Hauke Bosak, szkic biograf. Kraków 1866. —·20

— Intrygant, powieść. Kraków 1876 (na wyczerpaniu). zniżona na—·75

Schmidt Henryk. Szkic historyczny dziejów 30-letniego panowania Stanisława Augusta z 8 rynami rysunku Kossaka i W. Eljasza. Kraków 1862 cena 1 złr. 20 ct. zniż. na—·50

Szujski. Długosz i Kallimach. Lwów 1880. 1·—

Słowacki Juljusz. Hugo, Mnich, Arab, Jan Bielecki, Żmija, W Szwajcarji, Ojciec zadżumionych. Kraków 1882. —.40
— Lambro, Anhelli, Wacław, Duma o Rzewuskim, Grób Agamemnona, drobne wiersze. Kraków w roku 1882. —·40
— Mindowe, Marja Stuart, Pan Tadeusz. Kraków w r. 1882. —·40
— Sen srebrny Salomei, Król Duch. Kraków 1882 —·40
— Balladyna. Kraków 1882. —·40
— Beniowski. Kraków 1882. —·40
— Lilla Weneda, Mazepa. Kraków 1882 —·40
— Kordjan, O potrzebie idei. Kraków 1882. —·40
— Książę niezłomny. Kraków 1882. —·40
— Ksiądz Marek, Poema Piasta Dantyszka o piekle Kraków 1882. —·40
— Dzieła Juljusza Słowackiego, pierwsze tanie wydanie w 5-ciu tomach, zawierające toż samo co wydania lipskie i lwowskie z dodaniem odnalezionego urywku poematu „Pan Tadeusz" Kraków 1882 cena 4·—
— toż samo oprawne w płótno angielskie 6·—

Sprawozdania literackie. Maj-Październik 1882. r. Kraków 1883 —·20

Stanowisko Polaków w sprawie rossyjsko-niemieckiej. Kraków 1882. —·30

Szajnocha. Początek lechicki Polski. Lwów 1858 r. cena 4 złr. zniżona na 1·50

Szpaderski X. Patrologja, 2 tomy. Kraków 1878 r. cena 4 złr. zniżona na 1·50

Wierzbicki Dr. Geometrja wykreślna wraz z zastósowaniem do teoryi cieniow i wolnej perspektywy 2 części z 2 atlasami dla użytku wyższych szkół realnych. Kraków 1875 każda część 2 zł. zniżona na 1 złr. 50 ct. dwie części 3·—

Zacharjasiewicz. Marek Poraj, powieść z czasów pierszego rozbioru Rzplitej polskiej. Kraków 1867. cena 2 złr. 40 ct. zniżona na—·80

Załęski St. ks. T. J. Słowo o książce Juljana Bartoszewicza: Szkic dziejów kościoła ruskiego. Lwów 1881. —·15

Ziemiałkowski Florjan, życiorys z portretem. Kraków 1883. 1·—

Zawiliński R. Z Etnografji krajowej. Kraków 1883. —·20

Zółkowski. Momus. Kraków 1883 —·80
— toż samo w oprawie 1·20

Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca **Jan Blaschke**.

W drukarni A. Koziańskiego.

Rok IV. Kraków, dnia 20 Lipca i 5 Sierpnia 1885 r. Nr. 14. 15.

PRZEGLĄD
LITERACKI I ARTYSTYCZNY

pismo poświęcone literaturze, sztuce i sprawom społecznym.

PRENUMERATA.
W Krakowie: *rocznie 6 złr., półrocznie 3 złr.. kwartalnie 1 złr. 50 ct.*
Z przesyłką w Austryi: *rocznie 6 złr. 50 ct., półrocznie 3 złr. 25 ct., kwartalnie 1 złr. 63 ct.*
W Wielkopolsce: *z przesyłką rocznie 12 Mrk., półrocznie 6 Mrk., kwartalnie 3 Mrk.*

Główny redaktor K. Bartoszewicz.
Wydawca i redaktor odpowiedzialny Jan Blaschke.
Adres Redakcji i administracji:
K. Bartoszewicz w Krakowie
ul. Sławkowska, hotel Saski.

W Warszawie: *prenumerata rocznie 4 rs., półrocznie 2 rs. Z przesyłką do Cesarstwa i Królestwa rocznie 6 rs.. półrocz. 3 rs. Skład główny w Warszawie u G. Centnerszwera. (Marszałkowska 73).*
Przegląd wychodzi każdego 5go i 20 dnia miesiąca i obejmuje półtora arkusza druku.

O NIEJ.

KARTA Z ALBUMU NIEDOSZŁEGO PORTRECISTY

przez

Maryana Gawalewicza.

Dokończenie.

O Bińskim jakoś ucichło; mówiono tylko o świetnej wyprawie dla Wereszczańskiej, o apartamencie przepysznie urządnym przez niego, o blizkim ślubie etc.

Co mnie to mogło obchodzić; słuchałem jednem uchem, wypuszczałem drugiem.

Helunia zawzięła się i ani słowa nie wspominała o nim po chorobie; jakby go nie znała nigdy. Z albumu poznikały gdzieś jego fotografie, ze ścian obrazki. Widocznie z umysłu usuwała po nim ślady sama, żeby jej przypomnieniem nie drażniły.

Trzymałem też gębę na kłódkę zamkniętą, bom się bał budzić licha.

Ale wywołała go sama z własnej woli.

Ta cała sfora, co za nią biegała przedtem, odpędzona tak nagle i niespodzianie, zaczęła teraz ujadać; dokuczali jej. Ten i ów, odprawiony odedrzwi, oburzał się, pojąć nie mógł, czemu «ta Musia tak zhardziała...» Coś w tem być musiało, a to było tylko, że wypocząć chciała, że ją znudził widok tych lalek wyfraczonych, ze szkiełkiem w oku, z grzywką na czole, z herbowemi spinkami u mankietów; a zresztą najpewniej nie chciała tych widywać, co jej Bińskiego przypominali.

Zacięła się wprawdzie i milczała o nim; ale myślała, a to gorszem u takich natur. Coś knuła potajemnie.

Raz omal nie wybuchnęła; było tak: przyszedł do niej do garderoby jeden z dawnych znajomych, gapiątko takie arystokratyczne, przyjaciel niby Bińskiego, którego czasem dopuszczano do konfidencyi, zapraszano na wspólną kolacyjkę, bo bawił swoją naiwnością. Umiał wypić trzy kieliszki szampana postawione jeden zadrugim... także popis!

Za kulisy miał wstęp, bo należał do «protektorów sceny», a takich się za drzwi przez maszynistów nie wyrzuca.

W antrakcie wlazł do jej garderoby, ot tak, bez niczego.

Myślał, że będzie przyjęty, jak dawniej, ale trafił na złą chwilę. Spojrzała na niego gniewnie, zmarszczyła czoło i krótko a szorstko spytała:

— Czego?

Zaczął coś bełkotać, ni to, ni owo, że jej dawno nie widział, że chciał się przekonać, czy bardzo zmartwiona, przyszedł pocieszyć... Także sens, odzywać się do niej w tym tonie!.... Jeszcze, żeby arogant zdjął był kapelusz z głowy, ale nie, czy zapomniał, czy mu się zdawało, że szyku zada aktorce nowym cylindrem na fryzowanej pałce... Podeszła do niego, fiksując go swemi przymrużonemi oczyma, co czasem ślepie bazyliszka przypominały i sięgnęła ręką po laseczkę fiszbinową, którą trzymał.

— Pokaż no pan tę laskę — rzekła niby obojętnym tonem — ah, ładna, giętka, elastyczna — i zaczęła nią w palcach młyn kować, tak nieostrożnie, albo raczej tak zręcznie, że kapelusz panicza znalazł się po chwili aż za drzwiami garderoby. Wybuchła szalonym śmiechem i wyrzucając laseczkę za skonfundowanym gościem, dodała złośliwie:

— Nawet laska grzeczniejsza od swego właściciela, bo odkrywa mu głowę wobec kobiet — i trzasnęła za nim drzwi, aż się ściany cienkie zatrzęsły.

Miał nauczkę grzeczności, poszedł jak zmyty, ale się zemścił: porozsiewał plotki, że przed nim na Bińskiego się odgrażała, że chciała pożyczyć od niego pieniędzy (hołysz był i żył z pensyjki ciotek), że na Bińskim suchej nitki nie zostawiła.

Musiało to dojść do jego uszu, bo w kilka dni potem, zjawił się u niej kuzyn Antinousa, pan Alfons Pobóg Lichocki.

Nazywano go pospolicie «Fonsiem», choć łysy już był i musiał farbować faworyty. W kołkach złotej młodzieży miał szeroki mir, przepadali za nim; anegdotki tłuste sypał z rękawa, paryzkie knajpy i buduary znał, jak własną kieszeń, nawet lepiej, bo do kieszeni swojej rzadko kiedy zaglądał, nie było po co, a tam w pół świątku życie prawie spędził.

Błaznował przed młodymi, gdy sobie podpił, fracuzkie kuplety śpiewał z bulwarowych *café chantant*, kolacyjki urządał, banczek trzymał przy zielonym stoliku za pożyczane pieniądze, po salonach się kręcił; lichota była moralna, a jednak przyjmowali go wszędzie, zapraszali, bo djabeł wie, jakiem prawem używał tytułu księcia i mitry na biletach wizytowych.

Mieszkał w hotelu, w dwóch pokoikach; nie ręczyłbym, czy sobie sam butów nie czyścił, zawsze zapowiadając wyjazd «do siebie», na księżyc chyba... Szelma, pieczeniarz, wszędzie był u siebie, gdzie się z komina kurzyło.

Ale prezencyą miał i w salonie musiał dobrze wyglądać, zresztą ta opinja salonowa jest bardzo dystyngowaną damą, która zasłania się wachlarzem, gdy nie chce czego zobaczyć.

Fonsio miał zawsze czysty gors i mankiety, po co było patrzeć na brudne ręce!.. *Charmant causeur* go nazywano.

Albo to mało takich włóczy się po wyższym swiecie, wciska do towarzystwa!

Aby tytuł i gęba pańska

Ktoś dowcipnie powiedział, że jak człowiek kilka razy w rozmowie z takim panem powtórzy: *mon prince*, to mu się potem zdaje, że sam co najmniej jest baronem... ot, i dlaczego takich zapraszają.

Fonsio mentorował jakiś czas Bińskiemu i żył na jego koszcie, psuł go, pod pretextem, że powinien wyszumieć, oszlifować się, nabrać tresury.

Ni ztąd, ni zowąd zjawił się u niej i od razu zaczął o tej historyi z listami, która jej tyle zdrowia zabrała w skutek sceny ze starą Bińską. Sprytnie się wziął do rzeczy; udał oburzenie na plotki, jakie złe języki rozniosły.

— Powiedzieli Jędrusiowi — mówił — że pani chcesz na tych listach zrobić interes. Co za pomysł!.., cóż w nich takiego być może, aby aż na wagę złota je cenić. Jędruś sam powiada, że te androny nic nie warte, ale zawsze teraz... kiedy stan zmienia, musi dbać o wszystko. Te kawalerskie historye mogłyby mu zaszkodzić, więc wczoraj właśnie przyszedł do mnie i powiada: «mój Fonsiu, pójdź ty do niej i rozmów się, ile w tem prawdy, nawet gdyby chciała koniecznie, to ofiaruj jej coś, byle raz skończyć tę awanturę».

Wzdrygnęła się znowu, jak wówczas, gdy z taką propozycyą przyszła do niej matka Andrzeja.

— Jakto, on to powiedział?

— *Parole d'honneur d'un gentilhomme.*

Wstała, poszła do swego biurka i z szuflady wyjęła plik listów, kartek, bilecików, związanych nitką jedwabiu, wróciła z tem wszystkiem do swojego fotelu na biegunach, usiadła i rozłożyła tę całą korespondencyą na kolanach.

Fonsiowi oczy się iskrzyły, jak psu gończemu.

Ona przebierała długiemi palcami w tych papierach, nie mogła się zdobyć na słowo. Jakoś nareszcie się opanowała.

— Więc wy chcecie koniecznie kupić odemnie tę bibułę — rzekła — dobrze... ile dacie?

Fonsio gębę otworzył; nie podobała mu się ta zgoda tak niespodziana, płacić mu się nie chciało, choćby cudzemi pieniądzmi.

— Ile damy?... — ile pani zażądasz.

— Ile zażądam... ho, ho, to wspaniałomyślnie, po pańsku!... krotko i węzłowato setkę za list, co?.. za drogo?..

Fonsiowi oczy na wierzch wylazły; listów było ze sto.

— Setkę za list?.. ależ to żarty.

— Nie, bynajmniej, to najtańsza cena, umyślnie taka, aby was nie zrujnować. Na amatora więcej warte; Wereszczańscy kupią bez targu. Jakżeż?...

— Pani Musiu, ależ to nie godne pani — zaczął z emfazą teatralną.

— Przepraszam — przerwała mu nerwowo — handlujemy, handlujemy otwarcie. Godne, czy niegodne, o tem później. Podjąłeś się mój... książę pośrednictwa w tej sprawie, bądźże tylko faktorem.

Strusi miał żołądek, ale szpilka go ukłuła.

Wzięła z pliki bilecik jeden i przeczytała.

— Patrz pan, jakie to cenne dokumenta: «Musieczko, śniłaś mi się dzisiaj noc całą, kocham cię teraz w dzień i w nocy, Ciebie tylko i żadnej innej już kochać nie potrafię. Zobaczę Cię wieczorem?.. *Au revoir* o dziesiątej,— twój Jędrek!..» O, to warte dwie setki!

Zaczęła się śmiać swoim nerwowym, urywanym śmiechem, zmięła papier w palcach, zrobiła z niego kulkę i podsuwając pod sam nos Fonsiowi, dodała:

— Powąchaj pan jak to ślicznie pachnie; na zachętę zrobię panu z tego prezent. Na porękawiczne daruję Waszej książęcej mości ten niewinny bilec.k, darmo.

I przy tych słowach rzuciła mu, jak psu do aportowania papierową kulkę w jeden kąt pokoju.

Zpąsowiał jak burak, ale się porwał z miejsca; przed nim Cezar z pod kanapy pobiegł spełnić swoją powinność.

— No, kto prędzej — wołała szyderczo — Cezar *apporte!..* cha, cha, cha!.. nie dajżeż mu się książe ubiedz! — i jednocześnie zwinęła drugi list w taką samą kulkę i rzuciła w drugi kąt, potem trzeci i czwarty, zanosząc się od śmiechu... Fonsio biegał z kąta w kąt, ślizgał się po podłodze, schylał ku ziemi, opędzał od Cezara, usiłując uprzedzić go w pochwyceniu zdobyczy. Ta rywalizacya dwóch psów w apportowaniu prawie o spazmy ją przyprawiała; byłaby wszystkie listy kochanka swego w ten sposób rozrzuciła. Przyjemność więcej warta była dla niej od setki za każdy bilecik miłosny.

Fonsio zmęczony, zziajany, zły, upokorzony był.

Gdyby go tak widziały jego damy!..

— Brawo Cezar! — wołała ona, ile razy jej pies wyprzedził hrabskiego wyżła; zmęczyło ją to nareszcie.

— No, dosyć, żal mi już pańskiego grzbietu, przestań się schylać, jeszcze nieraz trzeba będzie nagiąć karku w tem życiu. Pomówmy teraz seryo, usiądź pan i odetchnij. Jakżeż będzie z tą resztą? dacie po setce za sztukę, nie licząc tych, które pan Cezarowi wydarłeś?

Fonsio czoło ocierał z potu, nie mógł ukryć urazy, choć się starał wszystko w żart obrócić.

— Przyznam się, że pomysł oryginalny, ale bardzo nieprzyzwoity kazać mi jak psu apportować.

— Mogłeś pan zostawić pierwszeństwo Cezarowi; — więc cóż?.. dobijemy targu?

— Ależ to dziwactwo; stawiać takie warunki...

— Więc nie dacie?

— To się rozumie; postaw pani cenę ogólną, hurtem...

— Setkę za sztukę.

— Niemożliwe.

— Nie?

— Tak sądzę, zresztą mogę się jeszcze spytać...

— Nie lubię czekać na nic w życiu; zatem?.. za drogo?... taniej nie odstąpię i dlatego...

Jednym ruchem zgarnęła całe archiwum sercowe Bińskiego i wrzuciła je w piec.

Fonsio zerwał się, jakby go podrzuciło.

— Któż to widział!.. ależ to szkoda.

Zapewne, dla niego szkoda była tych świstków, kóre byłby odsprzedał starej Bińskiej po znacznie zniżonej cenie.

Łgarz, wszystko wykomponował, Jędruś nigdy go po nic nie przysyłał, ani targów nie kazał prowadzić. Sam się rozporządził, bo chciał zrobić własny interes na takiej spekulacyi; zawsze mu się coś oberwało, miał z dziesięć kartek w kieszeni, poślinionych przez Cezara i podartych jego ostremi zębami.

I to było coś warte; dobra psu i mucha.

Tak się skończyła sprawa z listami, o które Bińskim tak bardzo chodziło.

Kiedy mi to opowiadała, chciałem ją pogłaskać, jak dobre dziecko, pod brodę; śmiałem się do rozpuku, bo naśladowała ruchy i miny Lichockiego, humor miała wyborny, ale jakiś gorączkowy. Zanadto mi się wydała zadowoloną ze swego pomysłu.

Zbliżał się nareszcie dzień ślubu Bińskiego; ukrywaliśmy umyślnie z Karolkiem datę, godzinę, kościół; chłopak o wszystkiem się dowiedział.

— Panie, — mówił do mnie — aby jej tylko nie pisnąć o tem, gotowa pojść, zrobić jaką awanturę, znów się narazić... pan ją znasz. Nie darmo tak milczy o nim; ja mam złe przeczucia, mój drogi panie — pilnujmy ją.

A no, pilnowaliśmy; po scenie z Fonsiem spochmurniała nam jakoś, zamyśliła się, skarżyła na ból głowy, na bezsenność, na to, że się jej niczego nie chce, bo apatya ją opadła jakaś, — spać chciała tylko, albo umrzeć. Ot, gadanie.

— Zobaczycie, że ja umrę, — mówiła do nas z jakimś melancholijnym uśmiechem.

— To pochowamy — odpowiadałem, w żart obracając jej słowa.

Karolek pięści zaciskał na mnie.

— Nie bój się głupcze — mówiłem mu — od gadania nikt jeszcze nie umarł.

— Ale ona chora, panie; patrz pan jaka jest mizerna; jeszcze ten ślub jutrzejszy!..

Tego ślubu, to i ja się trochę obawiałem. Ułożyliśmy z Karolkiem, że on pójdzie do kościoła, a ja zostanę przy niej i nie wypuszczę z domu, choćby się gwałtem wyrywała. Mieliśmy cały plan oblężenia gotowy — dwaj głupcy, jeden stary, drugi młody. Że on nie znał kobiet, to nic dziwnego, ale że ja, stary wróbel!... co tam, to nie kompromituje! Najwięksi mędrcy na tym punkcie byli osłami zawsze.

Na godzinę przed oznaczonym ślubem poszedłem już do niej. Antkę w przedpokoju jeszcze spytałem:

— Pani się nie wybiera z domu?

— O nie — odpowiedziała, cmokając mnie w rękę swoim zwyczajem: już mnie teraz całowała z wielkiego szacunku... przed dyskami, ktore dostawała codziennie.

— A cóż pani robi?

— Jé właśnie, przyniosłam kotlet z restauracyi i omlet z konfiturą, bo pani jakoś głodna była po obiedzie.

Kiedy kto jé, to ma widać apetyt, a skoro ma apetyt, to ma humor, a kiedy ma humor — to...

— Chwała Bogu — pomyślałem — nie wie o niczem; udało się nam.

Wszedłem z dobrą miną do pokoju; siedziała przy stole zastawionym, na kanapie z nogami skrzyżowanemi po turecku (lubiła tak siadywać, kiedy bywała w dobrym humorze); na kolanach trzymała talerz z resztkami kotletu i jadła.

— A, to okularnik? — zawołała na powitanie — napijesz się pan zemną lampkę wina czerwonego?.. chodź, chodź staruszku, siadaj, oto omlet jeszcze nietknięty. Będzie mi weselej, nie lubię jeść bez towarzystwa i rozmowy. Cóż tam nowego?

Nowinę miałem tylko jednę, ale tej nie byłbym jej udzielił w tej chwili za nic w świecie. Myślałem o tym ślubie, który się tam gdzieś w katedrze szykował, o Karolku, co zapewne tłoczył się przy wielkim ołtarzu i wyobrażał sobie, że spełni bohaterstwo wielkie, kiedy panu młodemu szyderczo patrzeć będzie w oczy i roześmieje się mu w nos ironją — podczas przysięgi.

Nie narwanyż to chłopak?..

Nigdy komedyi w życiu grać nie umiałem, tem mniej na stare lata. Musiałem mieć minę roztargnioną, choć z pod okularów oczu mi nie było widać.

— Cóż pan taki osowiały? — zaczęła, nalewając mi szklankę wina — masz pan zmartwienie jakie? na frasunek dobry trunek, trąćmy się.

I trąciliśmy się; winko było dobre, złegoby nie piła, pewnie gdzieś na kredyt wzięła w handlu, jak wiele innych rzeczy brała.

Ta swoboda jej i humor jakoś raziły, tem więcej, im bardziej siódma się zbliżała.

Nareszcie zegar zaczął bić godzinę.

— No, siódma — rzekła i zwracając się do mnie najobojętniej ze szklanką do ust podniesioną, spytała: — A pan nie poszedłeś na ślub?

Myślałem, że oniemieję.

— Na ślub?.. jaki ślub?.. — próbowałem bełkotać.

— Panny Julii, Herminii Wereszczańskiej z panem hr. Andrzejem Bińskim w katedrze.

Niech ją kule biją!.. wiedziała o wszystkiem, o ślubie, o dniu, o godzinie, a spokojną była, jak kamień; nawet jej usta nie zadrżały, gdy wymawiała jego imię, to samo, które kilka tygodni temu nerwowe dreszcze wywoływało i spazmy.

— Więc wiesz? — zawołałem z rozdziawioną gębą.

Ręką machnęła:

— Od kiedy!..

— Jakto... i tak nic, bez wrażenia mówisz o tem?... nie płaczesz, nie spazmujesz?..

— Ja?!!

Wzruszyła ramionami, oczy wytrzeszczyła z podziwu na mnie, jak na waryata, usta wykrzywiła z grymasem lekceważenia... To «ja?!» było paradne. Piotr Chrystusa lepiej się nie wypierał; a co ważniejsza, że nie było w tem komedyi, ani udania.

A nam się obu z Karolkiem wydawało... Nie, wstyd mi się teraz przyznawać do tego. Że też są kobiety co mają duszę, jak racę z prochu i saletry, zapali ci się od jednej iskry, wybuchnie, strzeli aż pod niebo i potem w jednej chwili zgaśnie, ani dymu, ani popiołu. Ni to złe, ni dobre, porywami żyje, instynktami, chwilą, co nie zobowiązuje do niczego... ale mimo wszystko, takie czasem z dobrą bywają naturą, z dobrym gruntem, tylko że na nim wzrasta wszystko zarówno, i kąkol, i przenica, i kwiatek, i pokrzywa.

Djabeł sieje swoje, Bóg swoje — a jedno i drugie wschodzi na nieszczęście.

Nie mogłem ochłonąć z tego wrażenia; ona to widziała, więc zaczęła się tłumaczyć:

— Głupią byłam; warto było rozpaczać!.. za co, dla kogo?.. a czegoż lepszego mogłam się spodziewać po pańskiej fantazyi? Gdy mi go zaczęli odbierać, dopiero zdawało mi się, że wart dla mnie Bóg wie ile. Przez upór pokochałam go, ale czy to miłość!.. Albo ja potrafię dziś kochać? żeby ci głupcy wiedzieli, co jest we mnie, pouciekaliby gdzie pieprz rośnie. Serce we mnie już wygasło, stliło się jak drzewo mokre — na węgiel. Nie warto mówić o tem. Co komu zresztą przyszłoby dziś z mojej miłości!.. Ot, zdrowie żeby tylko służyło i sił nie brakło. Serce... cha, cha, cha!... albo to komu potrzebne; przecież serce można zastąpić czem innem. Co tu poetyzować, bierzmy życie realnie, nie łudźmy się!..

Zaczęła być cyniczną, z umysłu; siliła się na to, by się gorszą wydać. Niesmak czułem.

Około ósmej przyszedł Karolek; zemocyowany był, blady, smutny, nachmurzony, przywitał się milcząco, jej nawet w rękę nie pocałował.

Odrazu zagadnęła go:

— Byłeś na ślubie?

Czasem go tykała teraz w dowód szczególniejszej łaski.

— Więc pani wiesz o wszystkiem? — spojrzał na mnie z wyrzutem.

— Cóż wy z tego takie wielkie rzeczy robicie? — rzekła ze śmiechem, zakładając ręce na piersiach.

Karolkowi twarz się wypogodziła nagle, jakby go słońcem oblał, ucieszył się jej swobodnym tonem, wytłumaczył to sobie jak najlepiej.

— Bo ja myślałem — zaczął i badawczo spojrzał jej w oczy, potem nagle ku niej się rzucił, na kolana przykląkł, za ręce wziął, całować zaczął, prawie oszalał z radości.

— Więc to się już rozwiało?.. więc on już pani obojętny?.. o mój Boże, mój Boże, jak to dobrze, jak to szczęśliwie!.. teraz będę mógł otwarcie, swobodnie...

Nic sobie ze mnie nie robił; ja mam już takie szczęście, że ludzie na mnie nie zważają, jakbym nie istniał.

— Moja droga, jedyna, kochana pani, — mówił dalej, zapalając się; głos mu drżał. rumieńce na twarz wyszły, z kolan nie wstawał, nawet przysiadł na dywanie u jej nóg, za ręce ściskał i mówił: — Dzisiaj zdecydowałem się ostatecznie, a widząc jego przy ołtarzu obok innej, powiedziałem sobie: «nie masz nic, masz tylko parę rąk do pracy, ale uczciwe nazwisko po ojcu, kochasz ją i uwielbiasz, pójdź i ofiaruj jej to wszystko na resztę życia, wprowadź ją jak żonę do domku twojej poczciwej matki, niech innem powietrzem odetchnie, niech się odżywi, będzie jej tam dobrze, spokojnie, uczciwie, sprobój uszczęliwić ją!..» Wszystko to sobie powiedziałem, droga moja pani, i tobie to powtarzam teraz... to śmiałość, to zbytek śmiałości, ja wiem, ale pani jako kobieta wyższa...

No i tak dalej, modlił się do niej, jak do świętej, przekładał, tłumaczył, nalegał z taką surowością, z taką prawdą, tak poczciwie, że mi... okulary spotniały. Beksa jestem, łatwo się rozrzewniam. Byłbym chłopca zadusił w ramionach, ale mu przerywać nie śmiałem. A ona? patrzała w niego, jak w tęczę, słuchała z uwagą, oczy się jej rozżarzały w miarę, jak on się zapalał, przez twarzyczkę przebiegały jakieś światła i cienie, uśmiechy i smutki, wyszlachetniała temi uśmiechami, wreszcie ręce mu wyrwała, głowę objęła w dłonie, i szybko bez namysłu przyciągnęła go ku sobie i pocałowała w czoło. Tak poczciwie całują kobiety rzadko kiedy w życiu, zwłaszcza takie jak ona...

Karolek aż jęknął z zachwytu.

Palce swoje wplotła w jego włosy, twarz do twarzy prawie przybliżyła i z jakimś dziwnym, fosforycznym blaskiem w oczach, patrząc mu w same białka przez chwilę, wybuchnęła głosem, w którym i płacz i śmiech słychać było:

— Ależ dzieciaku, to niemożliwe... ja nie jestem wolną, mam przecież... męża!

Ten mąż, jak piorun spadł na nas obu. A niech go kaci!..

Że Karolkowi oczy na wierzch nie wylazły w tej chwili, to cud, ale mało do tego brakło.

On, który rumieńców nigdy nie miewał, poczerwieniał, jak burak, usta otworzył i oniemiał.

Co mu się dziwić, kiedym ja języka w gębie zapomniał.

Myślałem w pierwszej chwili, że to żart, ot tak sobie od śliny; powiedziała, aby biednego chłopca podrażnić, ale za dużo szczerości było w jej głosie, a potem przypomniały mi się słowa, ktoremi często przerywała rozmowę ze mną:

— Gdybyś pan wszystko wiedział!...

Teraz chyba wiedziałem wszystko. Patrzcie państwo, była mężatką, a żaden z nas nawet nie przypuszczał tego.

Albo to kogo mogło obchodzić?.. Widocznie zależało jej na tem, aby o jej małżeństwie nie wiedziano, zresztą wszyscy zanadto jej teraźniejszością byli zajęci, ktoby tam wertował przeszłość ładnej kobiety, a do tego artystki.

Talent, to jak blask, ciągnie oczy ludzkie w najjaśniejsze punkta i rozglądać się w cieniach nie pozwala, sztuka nadaje przywileje, często dla kobiet bywa rehabilitacyą.

Ale co mi tam wdawać się w takie ględy, niech sobie pisze kto inny rozprawy na ten temat, jam nie literat.

Musiała poznać po nas, że jakoś trudno nam uwierzyć w tego męża, rozerwała stanik na piersiach i wydobyła szybko cieniutki łańcuszek złoty, który miała zawieszony na szyi, a na łańcuszku medaljonik jakiś, krzyżyczek bardzo już wytarty i obrączkę ślubną.

Chowała ją jeszcze, na piersiach nosiła, choć zapewne to złote kółko miało już dla niej wartość tylko — kilku dukatów. Ale to tak bywa, że się człowiek nie może łatwo rozstać z tem co mu przypomina inną, czyściejszą przeszłość.

W medalioniku miała włosy Bińskiego, a przy nich obrączkę męża.

Że włosów nie wyrzuciła jeszcze, to z przypadku, przez zapomnienie, a pierścionek wisiał to wisiał.

Może zresztą przywiązywała do niego jaką wagę, kto ją mógł zbadać do gruntu!...

— Widzicie, że nie kłamię — rzekła — oto obrączka ślubna; cztery lata temu włożyłam ją na palec, a prawie trzy, jak zdjąć musiałam. Przeklęty dzień, kiedy mnie nią skuwali.

Wstała wzburzona, ręce splotła nad głową i poszła ku oknu.

Karolek jak nieżywy, przykucnął na ziemi, przy kanapie, twarz zakrył rękoma i ani drgnął więcej; mnie się palce same młynka puściły i tak milczeliśmy wszystko troje, jak zaklęci.

Co tu było gadać!..

Są chwile w życiu człowieka (bodajże cię z taką wyszarzaną sentencyą), w których język bankrutuje zupełnie i głupio mu za zaciśniętemi zębami, bo się na nic przydać nie może.

Co ja takich chwil już miałem w mojem życiu!..

Kiedy wróciła od tego okna, bladą była, jak ściana, oczy miała zaczerwienione, ale suche, tylko jakiś wyraz był w nich dziwnego smutku i zbiedzenia; podeszła do Karolka, pogłaskała go po głowie zlekka, ręce mu z twarzy odjęła i szepnęła:

— Wstań, usiądź przy mnie; — potem, że ją światło lampy raziło, zarzuciła na nią ogromny abażur w kwiaty i liście suszone i wcisnęła się w kąt kanapy.

Karolek, jak automat podniósł się z ziemi i usiadł na drugim końcu.

W takim zmroku siedzieliśmy teraz; on wzdychał, ona pochrząkiwała, jakby sobie gardło stroiła do przemówienia, nareszcie patrząc na nas obu, uśmiechnęła się i rzekła:

— Et, dajcie już temu pokój; rozpłaczę się i potem przez całą noc mnie nie utulicie. Co tam przypominać stare dzieje!... raz kozie śmierć, jak mówi Antośka. Dużo mi przyszło z tych łez, które w życiu wypłakałam?.. Historya moja krótka, miałam męża, naparłam się go, bo się młodej dziewczynie podobały jego wąsy i postawa; poszłam za niego, choć ojciec nie pozwalał, a potem musiałam pokutować. Zły był dla mnie, obchodzić się nie umiał, zrozumieć nie potrafił, z pokojówką własną rywalizować mi kazał, raz podniósł rękę na mnie i chciał mnie uderzyć, uciekłam z domu... do rodziców wrócić nie śmiałam, świat stał otworem, poszłam w świat i oto daleko zaszłam!

Uśmiechnęła się gorżko, ironicznie.

— Aby ślady wszystkie zgubić, zmieniłam imię, nazwisko, wyjechałam pokryjomu, a że żyć trzeba było z czego, wstąpiłam do teatru. Kiedyś nad moim talentem unosili się na amatorskich scenach; zamiast sławy, na początek szukałam tylko chleba. No, i znajdowałam go raz za dużo, drugi raz za mało... Nie umiałam być złą nigdy, do gruntu, ale i dobrą być nie potrafiłam; takim najgorzej na świecie. Po co wam opowiadać wszystko?... to nie wesołe a mnie słowa dławią. Wyście dwaj dobrzy dla mnie i poczciwi, gdybym takich była znalazła dawniej, możebym dzisiaj więcej warta była.

Podała nam obu ręce i trzymając je przez chwilę w naszych, mówiła dalej:

— Ale co to dzisiaj wszystko pomoże; często jeden błąd w życiu, to jak ten kamyk, co spada z górskich szczytów i lawiną wali się w przepaść. Po co ją powstrzymywać, kiedy w pędzie się toczy, zgruchocze, zmiażdży, roztrąci wszystko a spadnie, gdzie spaść musi. Lepiej z drogi się usunąć, panie Karolu... Sama nie wiem, zkąd mi się w tej chwili na taką radę zebrało, ale wyście we mnie poruszyli tę dobrą strunę, która jeszcze nie ze wszystkiem zardzewiała.

Karolek jej rękę do ust i do oczu sobie przyciskał, omal nie skowyczał, jak szczenię, bo mu w piersiach wzbierało, a na słowa zdobyć się nie umiał.

Czasem, to skaranie Boże z temi kobietami, kiedy są złe, to urzynaj poły i uciekaj, ale kiedy zechcą być dobre, toś przepadł.

A te, co to tak same przed sobą ostrzegają, oj, te bywają najniebezpieczniejsze.

Jakoś rozgadaliśmy się powoli wszystko troje i jak rabiny nad talmudem, kiwaliśmy głowami nad życiem ludzkiem i nad światem.

Po północy rozeszliśmy się nareszcie.

Karolkowi dopiero teraz wena do gadania wróciła, język mu się rozwiązał, pytlował nim, aż strach!.. przysięgał się, że teraz dopiero ma cel w życiu, że zakasze rękawy po łokcie, pracować zacznie, rozwód jej wyrobi, choćby miał do Rzymu pojechać, ciekawym za co?.. że chciał do niej siostrę i matkę prowadzić zaraz jutro, skoro świt. Nad talentem jej unosił się, przepowiadał jej złote góry, lepszej artystki nie znał i nie widział na żadnej scenie, śmiał się i wzdychał, kapelusz z jednego ucha na drugie, z czoła na tył głowy, z ciemienia na czoło przesuwał, w piersi się walił kułakiem dla nadania swym słowom większej ekspressyi, co chwila papierosa zapalał to jedną, to drugą stroną przez roztargnienie, przystawał a potem naprzód się wyrywał i wymawiał mi, że się po dziadowsku wlokę, kiedy jemu skrzydła u nóg powyrastały ze szczęścia i radości.

Pod bramą mnie wyściskał, wycałował, wygłaskał, potem ręce w kieszenie włożył, kołnierz paltota do góry postawił i środkiem ulicy puścił się, śpiewając na cały głos po nocy jakąś aryą z «Fausta».

Pewny byłem, że go do kozy wezmą za te hałasy i że trzeba będzie na drugi dzień uwalniać waryata z ciupy, ale jakoś mu uszło na sucho.

Zobaczyłem się z nim na kawie, bledszy był niż zwykle i zasępiony.

— Cóż ci to? — spytałem od razu, jużem się bowiem z twarzy jego nauczył czytać, jak z książki.

— Ot, znowu nowe zmartwienie — odrzekł, trąc ręką czoło pomarszczone — Lińcia w nocy miała trochę gorączki, matka się nastraszyła, doktora musiałem sprowadzać, do apteki posyłać — dzisiaj już niby lepiej, ale to za często się powtarza. Dziewczyna za dużo pracuje.

— Czemu za mąż nie wyjdzie?

— Kiedy nie chce; uparła się, żeby zostać starą panną i ani tego z głowy wybić. Miała przecież raz narzeczonego, cóż — kiedy łotr charakteru nie miał; niby ją kochał, oświadczył się, zaręczył nawet w tajemnicy przed mamą, potem pojechał do rodziców po zezwolenie i błogosławieństwo, pół roku go nie było, znaku życia nie dawał, a w końcu, wyobraź pan sobie, powrócił — ale z żoną, którą mu tam jakaś babka czy ciotka naraiła! Biedna Lińcia, od tego czasu zmieniła się do niepoznania. Uważałeś pan, że nosi okulary? — to tak sobie wzrok nadwerężyła z płaczu po nocach. Panie, żebym ja wtedy nie był taki dzieciak, ja byłbym mu pokazał, jak się to uwodzi poczciwe kobiety! ale to ośm lat wstecz, jeszcze do sztuby chodziłem — i nie miałem w rodzinie głosu.

— To teraz cały dom na twojej głowie?

— A tak, wszystko na na moje ręce się patrzy, a tu w dodatku do pierwszego daleko — westchnął, oczy zmrużył i nasunąwszy kapelusz na czoło, zadumał się głęboko.

Pewny byłem, że mu jego matrymonialne mrzonki wczorajsze, po myślach się snuły.

— Są ludzie, którym o szczęściu nie wolno nawet zamarzyć — zaczął po chwili — psi los! haruj, pracuj, myśl ciągle o tym kawałku chleba, który zaledwie na dziś wystarczy i ciągnij tę skrzypiącą taczkę życia z dnia na dzień.

— Widzisz — wtrąciłem, aby go wybadać — a ty się jeszcze żenić chciałeś?

— To i cóż? — oburzył się — przecież wiecznie tak nie będzie; życie by mi zbrzydło, obwiesiłbym się w końcu.

Kazał sobie podać kieliszek rumu do kawy.

— Moj drogi, po co ty ten rum żłopiesz? zagadnąłem go.

— Albo co?.. zimno mi, nie wyspałem się, to mnie rozgrzeje. Nie bój się pan, nie rozpiję się. Palnij pan zemną kieliszek.

— Dajże mi pokój.

— Moj panie kochany, co to panu szkodzi—nalegał, prosił, namawiał i musiałem z nim wypić na rozgrzanie.

O siódmej, zamiast do domu, gdzie go pewnie wyczekiwała matka, przy łóżku chorej Lińci, poszedł «wpaść do teatru» na chwilkę, żeby ją zobaczyć w «Akrobacie», a potem wystawać pod garderobą i czekać, aż wyjdzie z za kulis z Antką, która zawiniątko niosła i bukiet przysłany na scenę.

Roztargnioną była dzisiaj, zamyśloną, niepodobną do tej wczorajszej, słuchała jego użalań z udanem współczuciem, ale ją to mało obchodziło. Ten bukiet przysłany bez biletu, zajmował ją więcej, niż stu Karolków; miała jakiegoś nowego wielbiciela widocznie, który dyskretnie kwiatami się oświadczał, ciekawość jej podrażniał, nieśmiało szczęścia probował.

Takich bukietów odbierała już całe tuziny, ale każdy legitymował się odrazu, wiedziała lub poznawała od kogo pochodził; ten przyszedł niespodzianie, bez znaku, jak hieroglif z kwiatów. Najdłuższy list z oświadczynami nie byłby jej tyle zajął, co taki właśnie *anonym*.

Bukiet był piękny i kosztowny, więc nie lada kto mógł się na niego zdobyć, ułożony ze smakiem i dyskretny; znał swoją sztukę ten jakiś co go przysłał i kobiety znać musiał, bo swego dopiął.

Karolek zanadto sobą był zajęty, aby zauważył w niej jaką zmianę, ale ja, który snułem się jak duch pokutujący za nimi, z jej milczenia, z jej oczu, z kilku słów Antki, z tego bukietu wyczytałem więcej, niż potrzeba było, aby się dorozumieć, że ktoś na nią nową wędkę zarzucał i że haczyk już chwytała.

O — ho, z Karolkiem krucho być zaczynało; a przepowiadałem to, mimo wszystkie pozory.

Nie zapraszała nas już na górę do siebie, chciała się pozbyć jego i mnie, zostać sam na sam z tym bukietem, który zapowiadał nowych wrażeń szereg przerwany i powrot do dawnego życia.

— Co pani dzisiaj takiego? — zagadnął ją przecież niedomyślny chłopak przy pożegnaniu.

— Mnie, nic... zmęczoną jestem, głowa mnie rozbolała, tyle miałam zajęcia, nowa rola, proby, wczorajszy wieczór...

Usta mu tem zamknęła, ale kłamstwa nie poznał.

— Wpadniesz pan do mnie jutro? — szepnęła, wchodząc już do bramy; jemu się zdawało, że mu do nieba przepustkę przez otwarte podwoje wyrzucono w tem zapytaniu, a to była zwyczajna nitka, którą tkacz wywleka z pasma, odkładając robotę na jutro, aby miał o co zaczepić nowy motek.

Na takie nitki dudków się łowi całe stada.

Przychodziła na nią znów faza przewrotności, złych instynktów i pokuszeń.

Tydzień jakiś minął; nie wychodziłem za próg, bo mi astma moja zaczęła dokuczać; starość nie radość, a te wycieczki na trzecie piętro wcale nie były potrzebne. Musiało się to wcześniej czy poźniej odbić na starych płucach. Karolek wpadł tylko, jak po ogień, w domu miał także chorobę, pracować musiał teraz

za siebie i za Lińcię, a tu jeszcze głowa nią była zajęta, i zaczynały się dawne udręczenia. Czegoś się domyślał, podejrzewał, przypuszczał, ale pewności nie miał; to najgorsze.

Raz wieczorem wyszedł do mnie i powiada:

— Wie pan, do niej znowu się ktoś znęcił, tylko nie wiem kto; tajemnice jakieś robi przedemną, dzisiaj mnie kazała odedrzwi odprawić, że niby w domu jej niema, a przysięgnę, że widziałem w przedpokoju jakieś palto męzkie na szaragach. Ta Antka to szelma wytresowana, nauczyła się już kłamać, jak z nut. Ale ja dojdę swego, a wtedy, no!..

— Wtedy cóż?..

— Niech się mnie strzeże! — pięścią pogroził, oczy mu zaświeciły, usta zadrżały.

— Któż, Antka, czy ona?

— Obie; pan nie wiesz, do czegom ja zdolny w uniesieniu. Zwierzę ze mnie. Pókim dobry, to jak baranek, ale gdy mię rozdrażnią, na noże pójdę.

— Na rożen byłoby lepiej — powiedziałem mu, aby w żart obrócić jego ferwor.

Zalotność w kobiecie, to jak nałóg w pijaku, mocą przezwycięży się, przytłumi jakiś czas, uśpi, ale nie wykorzeni ze wszystkiem złego.

Tak i ona; nie mogła wyżyć bez tego, co jej żywiołem się stało; i tak za długo się przezwyciężała. Karolek, wiedziałem z góry, za małą rybą był dla niej; nie śmiała go odtrącić, za dobrym był, za bardzo ją kochał, zresztą po Bińskim próżnię chwilową zapełnił, lecz nie wystarczał na długo. Miała dla niego zobowiązanie, ale każda wdzięczność ciąży, jak jarzmo, choć dobrowolnie nałożone w pierwszym porywie szlachetności.

Żeby jeszcze bestya nie był tak zazdrosnym! dawniej przynajmniej mnie tylko tą zazdrością męczył, teraz ją drażnił, prześladował, upokarzał. Wszystko chciał wiedzieć, o wszystko pytał, podglądał, szperał, o każdą kopertę z listu śledztwa wytaczał, Antkę wybadywał, szpiegował, podedrzwi łaził i podsłuchiwał.

Przyszła nań recydywa dawnej choroby, ale i na nią także.

Zdawało mu się, że ma do niej jakieś prawa od chwili, gdy się jej tak naiwnie i niefortunnie oświadczył. Ba, żeby to każda miłość zobowiązywała, kobiety byłyby najnieszczęśliwszemi ofiarami.

Jedno jej za złe miałem tylko, że go nie odsunęła, nie powiedziała mu szorstko choćby, ale szczerze: «pójdziesz precz!» jak mówiła Cezarowi, kiedy ją męczył zanadto swojemi karesami. Tumaniła go, wykręcała się sianem, wszystko mu niby zawsze tłumaczyć musiała, a źle robiła po swojemu. Jakieś tam nowe konszachty i nowe romanse po cichu po za jego plecami prowadziła.

Musiało to wyjść na jaw i wyszło.

Zazdrość zaślepia, ale sprytu dodaje.

Karolek zwąchał pismo nosem, gdzieś tam kiedyś licho go sprowadziło pod bramę właśnie, gdy ją czyjś powóz odwoził z teatru. Mógł być przypadek, deszcz właśnie, lał, jak z cebra, błoto po kolana, cóż dziwnego?.. ale jemu zaraz Bóg wie, co po głowie fruwało. Buchnął, jak wulkan, rzucił się na nią tygrysim skokiem, gdy kładła rękę na dzwonek u bramy, chwycił za ramię, zatrząsł przerażoną i wrzasnął tylko: «tak?!!..» potem zębami zazgrzytał, nerwowo smiać się zaczął, popchnął ją w otwartą bramę i jak opętany uciekł.

Wołała za nim, chciała się tłumaczyć, ale gdzie tam; zbudził mnie ze snu, opowiedział bez związku piąte przez dziesiąte i wyleciał, drzwi nie zamknąwszy nawet za sobą.

Po deszczu, po błocie, bez parasola, jak pies wściekły się włóczył, nad ranem gdzieś dopiero w domu się zjawił.

Biedne matczysko nie poznało go, tak był zmienionym. Od rzeczy mówił, wszystko z siebie zerwał, zębami zgrzytał, Lińcię chorą ze snu przebudził i przestraszył.

Przysłały po mnie raniutko ztrwożone, zapłakane obie; a on w swojej izdebce się zamknął i od dwóch godzin chodził z kąta w kąt, meble roztrącał, do ścian gadał, furyi dostał, tylko go pod pompę brać i kaftan mu włożyć. Ta Lińcia patrzała na mnie oczyma gorączką powiększonemi, i złamanym głosem, spiekłemi ustała pytała:

— Co mu się stało? coś bardzo złego, mój Boże, mój Boże! zmiłuj się nad nami.

A matka, od łóżka córki do drzwi syna dreptała, powtarzając:

— Moja Liniu, to nic, to nic, jak cię kocham, to nic. Karolek ma trochę w głowie, musiał być gdzieś z kolegami, zmusili go pewnie, żeby wypił, wiesz, że on nie przywykły.

Podedrzwiami zaś słodkim, prawie pokornym głosem szeptała do syna, jak do dziecka:

— Mój Lolu, otwórz-no, coś ci powiem; jeżeli mamę kochasz, to otworzysz. Widzisz, pan Kajetan przyszedł do ciebie. Mój Lolu, zmiłuj-że się, oka nie zmrużyłeś całą noc.—Potem, widząc się bezsilną, biedna stara, uklękła za łóżkiem, żeby jej chora córka nie widziała, ręce złożyła, głowę oparła na rękach, oczy przymknęła, i tłumiąc przemocą łkanie, ustami poruszała, jak w modlitwie, którą Bóg musiał słyszeć, choć ludzkie ucho ani oddechu jej nie zdołało ułowić.

Taka modlitwa musi iść w niebo prosto, jak prośba i jak skarga zarazem...

Biedna matka, ani widziała, że oskarża przed Bogiem kogoś, co był sprawcą bezwiednym jej łez.

Stare serce waliło mi w piersi, jak dzięcioł w lesie, byłbym tak ryknął płaczem, że aż szyby zadźwięczały, gdyby w tej chwili turkot jakiś pod oknami nie odwrócił mojej uwagi. Przed domem stanęła dorożka, a po chwili drzwi się otworzyły i na progu stanęła w szerokiej rotondzie, w chustce na głowie zapuszczonej na oczy jakaś dama.

— Czy tu mieszka... — zaczęła i urwała, rzuciwszy okiem na łóżko z chorą, wypatrzoną szklannym wzrokiem przed siebie, na klęczącą za łóżkiem i w rozpaczliwej modlitwie pogrążoną matkę Karolka, na mnie, który sobie usta ręką zatykałem, aby głupstwa jakiego nie zrobić. Poznałem ją po głosie; odważyła się przyjść za nim aż tutaj. Taki widok to może odjąć mowę, przypuszczam.

Jedno spojrzenie powiedziało jej wszystko, stanęła jak wryta, wejść nie śmiała, pytać dalej nie mogła; cofnęła się nareszcie, a na palcach wysunąłem się i ja za nią do sieni.

— Po co tu było przychodzić? — rzekłem — sumienia nie masz, nieszczęście ludziom przynosisz niewinnym... Bóg będzie karał!

— Bóg?.. a za co?.. — spytała — cóż ja mu zrobiłam? przyszłam, aby go uspokoić, aby zobaczyć... Pan nie wiesz, w jakim stanie się rozszedł wczoraj ze mną.

— Wiem, wiem, cicho już; siadaj i odjeżdżaj, nie próbuj naprawiać nawet złego, a jeśli masz resztę serca i sumienia, odsuń się, zanim cię zaczną przeklinać te dwie tam... za ścianą.

— Przeklinać?! — odskoczyła aż odemnie, jakbym ją żądłem ukłuł. — Coś pan powiedział!

— No jedź, jedź — nalegałem — po co ta komedya, jeszcze cię zobaczy tutaj.—Ręce załamała i wybiegła: jakby ją furye wypędzały z tego domu.

Kiedym wrócił do pokoju, matka jeszcze klęczała, chora oddychała ciężko, dała mi znak głową, abym się zbliżył. Z trudnością przyszło jej mówić, alem zrozumiał.

— Kto to był?

— Gdzie?

— Tu, ta czarna?.. to po mnie?..

— Pomyliła się w drzwiach — odrzekłem tak gładko, jakbym się kłamać uczył od dzieciństwa, ale chyba nie słyszała już odpowiedzi, bo znowu straciła przytomność.

Za ścianą u Karolka ucichło, musiał się zmęczyć tym marszem po pokoju i legnąć wreszcie na łóżku.

Boże mój drogi — także mnie łaskami nawiedzasz!.. za to, że swoich nie mam trosk i kłopotów, muszę cudze dźwigać.

Ha, może bez tego nie miałbym po co włóczyć się po świecie.

Życie, to dalibóg — ciężkie zadanie.

. . . .

No, i ktoby to był powiedział?.. Siedm miesięcy już upłynęło, jak wyjechała i ani znaku po niej. Mówili, że do Wiednia, inni, że do Paryża, ktoś tam przyniósł mi wiadomość, że ją widział w Tryeście, gdy wsiadała na okręt.

Fischgold wiedziałby coś o tem, bo mu najwięcej na jej adresie zależy. Zostawiła mu wprawdzie wszytkie meble i część garderoby za długi, ale cóż to, trzeciej części weksli nie pokryło, jak powiada pod *chajrem*.

Do mnie w ostatnim liście napisała krótko: «Nie chcę, aby mnie przeklinano; masz Pan słuszność, nieszczęście z sobą przynoszę — więc się od was usuwam. Czuję, ze całkiem dobrą już nigdy być nie potrafię. Dzisiaj sprzedałam Cezara Lichockiemu i za te pieniądze wyjeżdżam. Biedny mój Cezar, ani się spodziewał, do czego mi kiedyś posłuży!.. Jeźli można, odkup go Pan — niech u Ciebie zostanie i przypomina Wam nieszczęsną swą panią. Widzisz mój poczciwy stary, że i ja mam trochę serca i sumienia, choć oprócz Pana i tego dzieciaka Karolka — nikt go nie miał w obec mnie. Jeźli jest Bóg, to mi ten krok policzy. Bywajcie zdrowi i szczęśliwsi odemnie».

W dopisku dodała:

«Głupią moją Antką się zajmijcie, niechaj nie będzie głodną za to, że mnie kochała i wierną była. Należy jej się za dwa miesiące zasług, których nie mogę wypłacić, bo i tak bardzo mało mam tych psich pieniędzy».

Cezara odkupiłem od Lichockiego, kontent był, że zarobił na nim, ale pies wart swoją cenę, bo dobrej rasy. Antce znalazłem miejsce u siebie w kuchni, gotuje mi teraz, a coś z Kubusiem za często szepczą wieczorami; może z nich będzie para.

Zapłakiwała mi się dziewczyna z tęsknoty za panią.

Trudno, ja także wzdycham czasami, kiedy o niej myślę, bo jednak... niech ją tam Bóg prowadzi w dalszem życiu tułaczem. Żal mi jej bardzo, ot — rozbitek.

Z Karolkiem mam także biedę, od miesiąca niby pracuje w banku, gazeciarkę rzucił, trochę się uspokoił po jéj wyjeździe i po śmierci tej poczciwej Linci, ale co to warto! W głębi to go zawsze nurtuje i gryzie coś; szczęście, że matkę kocha i przysiągł mi, iż dla niej weźmie się do pracy i ustatkuje.

Jeden jej tylko został na całym świecie.

Przychodzi do mnie, jak dawniej, codziennie wieczorem, do teatru już nie łazimy — bo i po co? zapalamy lulki, siadamy we trójkę z Cezarem i gawędzimy — o kimże by innym jak nie... o niej!...

Takie kobiety wrastają mężczyznom w duszę, jak jemioła w drzewo, ale jak pasorzyt ją wyniszczają.

JÓZEF RYCHTER.

(WSPOMNIENIE POŚMIERTNE).

„Ach to może ostatni! patrzcie młodzi,
Może ostatni, co tak poloneza wodzi.“

A jeżeli nie ostatni, to jeden z ostatnich, co sztukę kochali, rozumieli ją poważnie, dla niej z zaparciem pracowali i legli w grobie, jak żołnierze waleczni. Ale na pewno ostatnim był Rychter, z nielicznego grona tych, co zżywszy się z przeszłością, umieli odtwarzać zamarłe typy, ostatnim, co umięli zarzucić wyloty kontusza, przedstawić starego szlachcica z jego butą i fantazyą, wadami i zaletami. Z Rychterem zeszła do grobu tradycya noszenia na scenie żupana, z jego śmiercią na długo ustąpił ze sceny Cześnik Raptusiewicz. To całe pokolenie młodzieży teatralnej, u której z pod kostyumu wyłazi niezręczny szablon, a z pod fartuszka reklama i chęć wybicia się *coute que coute* na wierzch, to całe pokolenie liliputów teatralnych, nie rozumie co praca poważna, co miłość dla sztuki. Ale nie ostatnim jest Rychter, co tak poważnie zadanie artysty pojmując, zawiódł się, nie ostatnim, których praca poszła na marne, a pamięć nie tak wżyła się w serca, jak powinna.

Dziwne; w społeczeństwie, w którem dla teatru zsuwa się na drugi plan mnóstwo spraw pierwszorzędnych, w kraju, gdzie jeden uśmiech aktorki ma swoją monografią a przynajmniej notatkę, w takiem społeczeństwie, artysta z krwi i kości, człowiek w specyalności swojej wydoskonalony, aktor, odtwarzający postacie ogółowi sympatyczne, nie znalazł przytułku, nie dla skołatanych lat, lecz dla pracy; nie miał terenu do gry ten, co jako kierownik był zdolny, jako artysta znakomity, jako przedstawiciel pewnych ról kochany. Wielki w tych słowach mieści się zarzut i dla publiczności i dla teatru. Kto tu kogo popsuł? Kierownicy teatrów u nas, to prawie zawsze w togi dyrektorów poprzebierani spekulanci dramatyczni, lub ludzie, którzy o teatrze mają pojęcie jak Chińczyk o kulturze galicyjskiej. Teatr schodzi do znaczenia dobrego interesu a nie świątyni sztuki, a publiczność miast kształcić się, psuje sobie smak i jak zbłąkana owca, nie wie w końcu, czego ma żądać, co lubi, a co jej się nie podoba. Do tego chaosu przyczyniają się niemało niesforne wrzaski tej hałastry reklamiarzy teatralnych, co na żołdzie dyrektorów teatru pisząc, kompromitują godność prasy, obniżają wartość *racyonalnej krytyki*, bałamucą publiczność i aktorów.

W takim labiryncie, gdzie prosta spekulacya w arcykapłańskich szatach głosi posłannictwo sztuki i teatru, gdzie czereda pismaków, z literackich zdolności wyzutych, spokój zakłóca, gdzie publiczność szuka wrażeń niezdrowych, nie mógł Rychter znaleźć pola dla pracy. On inaczej pojmował zadanie artysty, inne zakreślał koła dla sztuki, on spóźnił się i zastał to, co nie powinno było przychodzić. Na całej przestrzeni kraju zostało dwóch jeszcze jego towarzyszów: Żółkowski i Królikowski, — obaj w Warszawie. Rychter nie mógł znaleść miejsca obok nich; nie pozwolono mu pracować, choć siły jeszcze pozwalały, a i chęci nie brakło. A już jeżeli nie jako aktor, to w charakterze kierownika wielkie mógł oddać usługi teatrowi.

Niewątpliwie nauczyłby wiele i wpoił może jakieś szlachetniejsze pierwiastki w umysły adeptów sztuki.

Z biograficznych szczegółów życia artysty zanotować można, że urodził się w Kraśniku w Lubelskiem dnia 9 Sierpnia 1820 roku, że przez dłuższy czas pracował w koczujących podówczas trupach prowincyonalnych, że wreszcie należał kolejno do personelu teatrów: lwowskiego, warszawskiego i krakowskiego. Tu

nawet przez pewien czas był kierownikiem sceny, a porzuciwszy ją, gościnnie występował w Warszawie.

Repertuar jego był bogaty, celował jednak w odtwarzaniu postaci Fredrowskich i Molierowskich. Jako Cześnik (Zemsta), Łatka (Dożywocie), Skąpiec i Świętoszek utrwalił się w pamięci inteligentnego ogółu. Twarz wyrazista, głos donośny, choć brzmienia chrapliwego dopomagały do osiągania znakomitych efektów (np. w roli Teramena w „Fedrze“ Rasyna).

Umarł w Warszawie 26 Czerwca r. b. i tamże pochowany.

Jego pracy i talentowi należy się najwyższe uznanie, a popiołom: pokój i cześć!...

Kilka szczegółów z historyi naturalnej ludowej.

Napisał

Karol Mátyás.

Ciąg dalszy.

Kuropatwa. Kuropatwy wâbią sie, jedna powiadâ: Pódź tu siostro! pódź!, a drugâ sie śmieje: Jâ haw jes. (S.).

Rybitwa, to jes taki biały ptâk, większy jak dziki gołąb. Skrzydła to mâ takie długockie. Óna tak lâtâ nad wodom, jak sie na dys mâ, jak ryby brodzą, co tak wirzchem pływają, to óna sie dopiro puści na dół i rybe chyci. (S).

Sojka. Djâbuł sie napirâł sojce, zeby mu dała misa, a on jéj dâł pikne piórka. (Z.).

Jastrząb. Jaszczębie są trojakie: naprzód są te wielgie jaszczębie, potem są średnie i takie małe. Ten wielgi jaszcząb jes bury, jak leci to tajak kieby był pstry, takie białe przebijâ, a jak usiędzie, to sie to wszyśko pochowâ, to jes bury. Ón biele ka kure przysiędzie i zjé, ale ón tyz i zająca nieràz w polu napadnie i zakłuje.

Ten mniejsy jaszcząb gołębnik, to nâjwięcy za gołębiami góni. Ón tyz jes bury, bo te wszyśkie jaszczębie są jednakie.

Ten nâjmniejsy to znów góni po polach za mysami, ale ón tyz i wróbla chyci. Jak to nieràz w zimie wróble w kupie na drzewie siedzą, to ón wpadnie między gałęzie, to sie wtedy wróble tak pocisą, zâden nie świrkâ, bo sie boji, żeby go nie chyciuł. To ón wtedy znowu wyleci w góre. (S.).

Sokół. „Użry wszystko tajak sokół.“ (S.).

Czapla. Na Podolu to są ptâki, co mają takie syje garbate, wydłuzone, a nogi długie. Nazywają je caplami. Takâ capla to se stanie na piâchu (piasku), tam ka woda jes płytkâ, bo mâ nogi długie, a ryby się jej zbiegają do nóg, to óna je dopiéro chytâ. (S.).

Gacopirz. Góni w nocy, mâ skrzydła tajak ptâk, a nogi tajak kot. Na skrzydłach to mâ takie mchem porośnięte. W nocy to tak lâtâ wele człowieka naokoło, a nieràz to sie we włosy wkręci — a piscy tajak ptâk. (S.).

Ryby (okoń, piskórz, szczupak).

Ryby mają w Morskiem Oku króla, to do niego tak idą na wiosnę (Zabrzeż pod Łąckiem).

Okoń. Okonie są płaskie, syrokie, mają białą łuske a między tem białem cârne — takie pasy mają po sobie. Stary okóń to taki jak kijânka, taki syroki. Ale takâ ryba prędko uśnie, ni moznâ je nawet do domu zaniéś. (S.).

Piskórz jes taki jak węgórz, tajak wąz. Z wirzchu jes cârny, a pod brzuchem zółty — a takie wąsy mâ. Ón nic nie jé, tylko wode pije, tajak pijâwka. (S.).

Szczupak mâ węzi łeb, ón jes gatonku węziego, ón wszyśko zezre, co jino we wodzie jes: cy rybe, cy zabe, cy co jinksego. Ràz przecie chycili scupâka, to jak go rozpłatali, to miâł scura w brzuchu. Ón tyz taką wielgą przeszczeń w sobie mâ. Karp a scupâk, to gada wodnâ. (S.).

Żaba — pijawka — ślimak — wąż.

Żaba. Zaby są cedź jakie: zielone, zółte, bure, cerwone — cedź jakie. Te zielone zaby to zyją we wodzie, casem jak jes mokro to wychodzą na trâwe, to sie rosłazą po trâwie. Jak jes sucho, to siedzą we wodzie.

Zaby polne, ziemne, siedzą w ziemi; nieràz jak sie orze, to wylezie na wirzch. Óny są cerwone abo bure, a skóre mają taką bardzo grubą, chropawą, z kropkami. Jak sie orze, to nieràz na niéj pług wyskocy, wypchnie, óna przewróci sie do góry nogami i nic jéj sie nie stanie. Te zaby ziemne bure nie kcą do wody iś, jak je rzuci do wody, to zaràz uciekâ z wody. Takâ zaba to sie biele ka weźnie i w piwnicy między zimiâkami. (S).

„Zaba to sie pod dys nâjbardziéj drze.“ „Zaba dysca wołâ.“ Ztąd jak ktoś wiele śpiewa albo w czasie słoty, powiadają: „drze sie jak żaba“. (Pob.).

Zaby tak sie obzywają: Zdech boceń? Zdech. A radyście s tego? Oj! radymy tyz to, rady, rady, rady, rady, rady. (S.).

Var. 1. A radaś ty, ze boceń zdech? Rada. A tyś rada? Rada. A to my se wszystkie rady, rady, rady, rady, rady. (Pob.).

Indzie tak sobie głosy żab tłumaczą:

Buł tu wto? Ou buł. Wziął tu co? Ou wziął. Cóz tu wziął? Dzicie. Płakałyście? A nie płakały. Płacmy teràz: rogi nogi, rogi nogi, rogi nogi... (Z.).

Pijawka. Niektóre gospodynie trzymają w domu we flaszce lub słoju pijawki, bo one nieraz bardzo są użyteczne.

Jak pijâwki po wodzie gónią a potem na dole leżą, to nie bedzie pogoda, a jak mâ być pogoda, to wtedy do góry idą (S.).

Ślimak. Dzieci mówią ślimakowi: „Ślimâk! wypuś rozki, dâm ci mącki na pirozki“ — a ślimâk wypuści wtedy dwa rozki. (S.).

Wąż. O wężach powiadają, że w pewnych czasach odprawiają „sejmy“ czyli narady. Urządzenie mają podobne, jak gmina, mają króla swego o siedmiu złotych głowach i radę złożoną z przedniejszych wężów, którym reszta jest posłuszną.

Raz widziało dwóch chłopów z Dąbrówki polskiej, taki „sejm węzi.“ Było to podobno kiedyś dawno. Jadąc po drzewo wązką drogą przez las, zobaczyli opodal na drodze ogromną kupę wężów, z której wyróżniał się jeden wielki wąż o 7 złotych głowach, znajdujący się w ich środku. Węże syczały przeraźliwie, odbywały więc właśnie swe narady. „Widzisz ty tego wielkiego węża z 7 złotymi głowami — spytał jeden chłop drugiego — to pewnie będzie ich król.“ „Ej! żeby można go dostać“ — odparł drugi. „Wiesz co — rzekł pierwszy — puśćmy na te węże koło z wozu, to się rozlecą i prędzej tego króla dostaniemy.“ Tak też zrobili. Koło puszczone na węże przeszło prawie przez ich środek i potoczyło się na dół w paryą, bo w têm miejscu właśnie spadzistością góry szła droga, a węże spostrzegłszy je rozbiegły się wszystkie w różne strony, tylko złotogłowy król sam pozostał. Oni tymczasem przypadli z siekierami do niego i ucięli mu głowę, a włożywszy ją na wóz spieszyli szybko do domu, by ich węże nie dognały. Sprzedali potem owe głowy bardzo dobrze, za parę ponoć tysięcy. (Dąbrówka p.).

Widełki z języka („ządło“) węża znalezionego przed św. Wojciechem, mianowicie w wilią tego świętego, przynoszą trzymającemu je przy sobie wielkie szczęście. Za drogie pieniądze kupują je karczmarze, aby mieli do siebie „ściąg“ ludzi, młynarze, aby im dużo zboża do mléwa przynoszono, itp. (Z.).

Skóra wylenionego węża, znaleziona przed świętym Wojciechem, służy za domowe lekarstwo. (Z. D. i inne.).

Owady.

„Pân Bóg to nawet o bidnem chrobácku nie zapomni"—powiadają. Różnicy między owadem a robakiem lud nie robi, i to „chrobák" i to „chrobák". Gąsienicę bielinka kapustnika nazywają „gizdawym chrobákiem". (S).

Pchła. Zag. Cárniutkie, malutkie, wielką kłodę rusy. (Z.).

Pająk taki polny to nieráz niesie takie wielgie jaje za sobom, co w niem jes i kielkoro młodyk. Pająk taki, co po ścianach łazi, to znów má jinksą profesyją, ón robi nici, takie pajęcyny, co w nie chytá muchy. Nieráz to i osę uwiąze na ty pajęcynie, tak jéj nogi owinie tom niciom i osa musi zycie skóńcyć. (S.).

Biedronka. Biedronce sie mówi: „Biedronka! leć do nieba, proś matki, ojca, żeby na jutro była pogoda"—to biedronka wyleci w góre. (S.).

W Sądeckiém nazywają biedronkę także „biedrązką". Dzieci chwytają biedronkę i tak do niej mówią: Biedronka leć do słonka, spytáj ojca, matki, rychło bedzie połdnie. (Zawada).

Świętojański chrobácek. Ón wtencás świci, jak leci; jak siedzi abo padnie, to wtencás nie świci, bo jemu te drugie skrzydełka sie świcą, te spodnie skrzydełka. (S.).

Bąk. Por. Opatrzył sie jak bąk — oźrál sie jak bąk — objád sie j. b. — okurzuł sie j. b. (Sos.).

Świtezianka — „sarániec", to uzre, to zboze podciná. (S.).

Kózka. K. nazywają „májem", bo na wiosnę siada na owych żółtych kwiatkach, nazwanych majami. „Máj nie zalatuje sie, bo má takie malutkie skrzydła a gruby jes tajak palec. Ón na wiosne siádá na tyk zółtyk kwiâtkach, na tyk májach, a jak sie go na ręke weźnie, to takie zółte maści upusci. (S.).

Ćma. Jak sie taká ćma spaskudzi, to potem s tego jes gąsienica. (S.).

Gąsienica bielinka („kapuśniáka"). Óna we wrześniu sie juz zasklepiá; jak bez zime tak wybędzie, to na wiosne sie wykole i dopiro jes motyl ten biáły, kapuśniák. (S.).

Świat roślinny.

W świecie roślinnym rozróżnia lud drzewa, krzáki, ziela, tráwy, kwásty (chwasty), grzyby, zboze, jarzyny i kwiaty ogrodowe.

W stosunku do tego świata dążność ludu do wyciągnięcia ze wszystkiego jakiegoś pożytku objawia się najjaskrawiej. Po roślinach, stanowiących istotną część jego gospodarstwa, zwraca on największą uwagę na zioła, którymi się nietylko w swoich własnych i domowych zwierząt słabościach posługuje, lecz także od szkodliwych wpływów przyrody zabezpiecza. Przesądy i zabobony łączą się tu z naturalnymi, często wielce skutecznymi lekarstwami [1]).

Do najpiękniejszych drzew należy — zdaniem ludu — dąb, jawór, jarzębina... Ztąd piosnka:

Hojze ino, hojze dana,
nie takiego bede miała,
wysokiego tajak dąbek,
a ładnego jak jarząbek.
(Sosnowice).

[1]) Obszerny ten dział medycyny ludowéj (sit venia verbo!) zasługuje na osobne opracowanie; zapewne poświęcę jej kiedyś odrębny artykuł, gdy zbiorę dostateczną ilość materyału, uwzględniając nadto dotychczasowe innych zbieraczów plony.

Drzewa owocowe starannie pielęgnują. Obacz zwyczaje, odnoszące się do tej rzeczy, w „Ludzie" Janoty (Lwów 1878).

Osika sie wsze trzęsie, bo sie na niéj Judás owiesiuł. Jak Pana Jezusa sprzedáł za trzydzieści śrybnikow, a usłysáł, ze Pana Jezusa ukrzyzówali, ze Pániezus bardzo ciérpi, to rzuciuł temi pieniądzmi o ziemię i posed i owiesiuł sie na osice".

Dlatego — powiadają — niebezpiecznie podczas burzy stać pod osiką (także pod topolą), boby piorun uderzył w drzewo i człowieka zabił. Tylko w „lyskę" (leszczynę) piorun nie uderzy, bo pod lyską Najświętsza Panna z Panem Jezusem spoczywała w czasie burzy.

„Kogo frybra trzęsie, ten niek wywierci dziure w osice i niek trzy razy chuchnie w te dziure a potem ją zatká kołkiem, to go frybra przestanie trząść." (Zawada).

Rokita (Salix triandra). To jes drzewo, na niem djábuł siedziáł. Djábuł z rokity Panu Jezusowi podcas ostatniéj wiecerzy wina do kielicha ukręciuł. (Z.).

Przestęp (Bryonia alba L.). Kwitnie tak bielusieńko, jak kwitnie to potem s tego kwiátka wyrośnie taki páciorek cyrwony, to przeszczegają, zeby tego nie rusać, ino ten sam moze, co wié co s tem robić. Ci, co to mają, to tak kryją po krzákach, zeby do tego nik(t) nie sed. Korzeń tego to taki bedzie jak cowiek, ręce má, nogi, gowe, tak siedzi w ziemi. To jes przestęp domowy. Jes drugi „krowi", to má korzeń tajak zywizna. To jes basz strasne. Jak jes ten śuatowy (światowy), ściągły, ten cowiecy, to krzycy: krztu (chrztu), krztu — a po wiela wyjdzie na tycce ji uźry śuatu, to potyla ściągá plenoś pod tego gazde. Jesce w ty wsi to wszyscy mają urodzáje, ale z drugie wsi nimają, bo to wszystkie urodzáje ściągá a nájbardziéj pod tego gazde. Ten krowi, bydlęcy przestęp nic nie krzycy.

Ten kto to má, to sâm musi koo tego chodzić, a drugi, co do tego nie wié, jakby to potyrpâł, to sie zrobi kalika. A kto wié co s tem robić, to má s tego prefikt.

Jeden chop miáł przestęp i takiego jakiegoś latawca(?), co powiela ino uźráł, to pod siebie ściągáł plenoś. Ten chop buł bogaty, ale przez cuda, ale cóz s tego, ze on miáł a drudzy nimieli. Ráz posła jedna dziéwka, co u niego suzuła (służyła) i urwała jeden listek s tego zielá, to sie s tego listka krew lála, krew sła, a ta krew padła ji (jéj) na ręke, to potem miała ręke jak kołek, do cysta jak kij, i do podziś dnia jes kalika, nijakie wági nimá w ni (niéj), a malutká jesce buła, jak posła do tego ogroda. Ten gazda zarásicek posed, wziął rozmaite lykarstwa, omasty, masła, spyrki, wszyscy pośli, smarówali ten listek — ten gazda miáł jesce cosi we flasecce, co przylepiáł ten listek, ale nic nie pómogło, bo zeby buł ten listek przyrós, zeby sie buł przygojuł, toby sie ty dziwce nic nie stało. Na tem listku wyrosła taká bulkáwka, taká bańka, co jedna bańka odpadła, to drugá urosła; nie buł listek, ino taki koślák.

A ten przestęp to go skasówali, s tego tak sie ten gazda zmartwiuł, zgryz, tak umar wnet, za niem zona i dzieci, a łońskiego roku umarła i córka ostatniá.

Na Myskowie (wieś sąsiednia) jeden gazda miáł przestęp, to nimiáł takiego ściągłego ze śuatu, ale to taki buł jak kmiel (chmiel), tak wysoko láz, a liście takie miáł jak palce, jak zeby ręke roscapirzuł, a ku samemu wirchowi to mu sie zdrobniały liście. Ten to nimiáł nijakich pácirzy, a na zime to zmaláł, a na wiosne sie znowu opuściuł, ale tyz i tego nimozna buło rusać. Ten gazda go miáł pokryjomie, ale sie przecie zradziuło, tak skardzyli do wójta, ze on go má, to go wójt skasówáł, bo to robi lá (dla) drugich przeciwnoś.

Tego carowniastwa to pirwy bardzo duzo buło, ale jak sie wzieli księza do tego, to to wszyćko wytracili. Teráz mało keń

zeby wto przestęp miáł, a jak wto má, to go juz tak má, co o niem niwto nikej nie wié. (Kunów, Mystków pod N. Sączem).

Poléj — ziele (Mentha Pulegium L.). Ziela tego, które gospodynie jako skuteczne w niektórych słabościach, mianowicie na ciężkość w piersiach, duchotę itp., używają, nie należy siać blisko krzaków, bo w psotę wyginie. Powiadają, że je wtedy płanetniki wyciągają, aby mieć „siłę do ciągnienia chmur.“ Florkowa, kobieta mieszkająca wśród lasu, dwa razy siała polej i za każdym razem jej zginął.

O poleju dowiedział się przypadkowo jeden chłop, żyjący kiedyś dawno, nazwiskiem „Oléj“. Raz złapał dzikiego człowieka [1]), który mu groch obrywał, i bił go, a on mu rzekł: „Zebyś ty wiedziáł Oléj, na co to dobry poléj, tobyś mie ty nie biuł“. Przestał go więc chłop bić, a dziki człowiek wyjaśnił mu skutecznoś́ó i moc tego ziela. (Zawada).

Krwawnik (Achillea Millefolium L.) nazwany też „polną marchwią“, z powodu podobieństwa liści do marchwi. „Jak sie kto skalicy, to trza nakręcić tych liści i dać na rane, to sie zagoji“. (Zawada).

Suchotnik rośnie po rzykach, kwitnie tak cyrwono. Ón pomoze na suchoty, ale jak utrafi na te suchoty, co ten kwiátek na jes, zeli som suchoty małe, bo jak som suchoty twarde, śmiertelne, to juz nic nie pómoze i Pân Bóg człowieka zabierze. (Sosnowice).

Żywokost (Symphytum), rośnie biele gdzie po trâwie, má takie kudłate liście. Ze zywokostu robią maś, co przykłâdają jak sie kto stłuce abo urznie. To sie nâprzód oskrobie korzeń s tego cárnego, jaz zostanie taki bielusieńki korzeń. Potem sie ten korzeń skrobie i daje do masła niesolonego, potem sie to razem smazy — jak sie juz zesmazy, zesmâlcuje, to sie nalywá do gârnuska, to sie zesiędzie i jes maś. (S.).

Łoboba s. *łandoz* (Chenopodium). Kiedyś bardzo dawno, jak były „ciężkie casy“, przednowki, jedli iudzie łandoz, lecz puchli i chorowali z tego. (Z.).

Jaskier (Ranunculus acris), „jakby tem oko zatar, toby nie widziáł.“ (Z.).

Omułek jes podobny do stokłosy, rośnie po zbozach, jak sie omłóci ze zbozem a potem sie s takiego zboza chleb zje, to cowieka trzęcie, jak frybra. Choć kiej w owsach tego duzo jes, to jak konie to zjedzą, to potem s tego śpią. Jak my (łońskiego roku) — opowiadały żniwiarki — jęcmień siekły, to my dały tego kurom zjeś, to kury sie opiuły i spały. (Z.).

Kaceniec (Catha palustris L.). To jes takie jak tatarcuch. To bydło straśnie lubi, ale jak tego krowa zjé, to je zaráz rozedmie. Ta trâwa bydłu jesce bardziéj skodzi, jak kóńcyna. (S.).

Oset (Carduus acanthoides L.) zaliczają do „kwâstów“, przypisując posianie jego djabłowi i nazywając go pospolicie „djâbelskiem zielem.

„Jeden chłop miał w polu okropną moc ostu, ale to — całe pole ostu. Nie mógł sobie rady dać i skarżył się przed drugimi Poradzili mu, aby do wiązki ziela włożył ostu i dáł księdzu w dzień M. Boskiéj Zielnéj (15 sierpnia) poświęcić. Postąpił wedle rady, włożywszy do ziela najgorszego, djabelskiego ostu. Odtąd nigdy mu w polu oset nie rósł, bo sie djâbuł zgniwâł, ze on to jego nasienie święciuł“. (Zawada).

Dziewuchy, drwiąc sobie z mężczyzn, nazywają oset żartobliwie „chłopskiem zielem,“ (zdaje się powszechnie).

Rozmaite trawy i chwasty, rosnące dziko w polu, nie mające częstokroć osobnej nazwy, oznaczają ogólnym wyrazem „trâwsko“. Głuszące zboże chwasty nazywają też „harcami“.

[1]) Mówią, że są dzicy ludzie po wielkich lasach, większego niż zwykli ludzie wzrostu, kobiety zaś mają tak długie piersi, że sobie je mogą na ramiona przerzucać.

Grzyby: gołąbki, chruśtâwki („mają takie duze karby na sobie“), gniwâki („som cerwonase; jak gniwâka urznie, to sie zazáz zgniwá, scyrnieje), ciaciâki, piniârki, kozâki itd. (Sosnowice).

Por. „Wyglądá w ty câpce, jak kozâcek w iwinie“ (S.).

Święty Piotr jest ojcem i patronem grzybów, równie jak bluszczyka ziemnego (Glechoma hederana L.) zwanego też u ludu „zielem świętego Piotra“ albo „mâjem“ [2]). O powstaniu grzybów wszędzie mniéj więcéj jednako opowiadają. W Zawadzie pod N. Sączem o tyle odmienną jest odnośna powiastka, że według niej Chrystus szedł ze św. Piotrem i Jakóbem, następnie, że św. Piotr zawstydzony rzucił kawałek chleba, który w ręce trzymał, pod krzaki, kędy też od owego czasu najwięcej grzybów rośnie. Dlatego zbierający grzyby proszą o szczęście św. Piotra i Jakóba w następujących słowach:

Święty Pietrze
dej mi znaleść ze trzy,
Święty Jakóbie
dej mi znaleleść na kupie.
(Zawada).

Dokończenie nastąpi.

W MIĘDZY AKCIE.

GAWĘDA.

Hugona Kleina.

— Czy mogę prosić pana o afisz — na chwileczkę.

— Z przyjemnością.

. . . .

— Dziękuję.

— Drobnostka. Jeślibyś pani potrzebowała jakowych objaśnień chętnie niemi jej służę.

— Objaśnień? — Nie. Zapewniłam się tylko, że przedstawiający króla Filipa istotnie jest tym panem, którego niedawno na ulicy widziałam. Wtedy wyglądał tak młodo! Jakże to musi być okropnem, gdy młody człowiek spojrzawszy w zwierciadło ujrzy nagle stare oblicze i przy niezaprzeczonem podobieństwie zawoła: to ja — ja rzeczywiście! Za wszystkie skarby świata nie chciałabym doznać tego uczucia!

— Wielu podobne przeobrażenie znachodzi nader zajmującem.

— Ja nie.

— Panie rzadko są w tem położeniu. Ledwo kiedyś się zdarzy, że muszą na scenie «robić się staremi», zwykle bowiem jest ich obowiązkiem występować tam w szacie młodości. A obowiązek ten potem przenoszą w życie powszednie.

— To mi się podoba — lubię być młodą.

— A jeszcze więcej pani młodość polubisz jak będziesz starszą, bo faktem jest, iż dopiero gdy wiek nam zajrzy w oczy umiemy cenić wartość młodości.

— Tego w żaden sposób nie możesz pan wiedzieć z doświadczenia!

— Dlaczegóż nie? Przecież i ja byłem młodszy. W dwudziestu ośmiu latach...

— Jest się jeszcze młodym. Mężczyźni nawet nie potrzebują być młodszymi. Byłoby właśnie sprawiedliwem, żeby z dwudziestoma ośmioma latami na świat przychodzili.

[2]) P. *Br. Gustawicz*: Podania itd. w dziedzinie przyrody. Kraków 1882. — *K. Mátyás*: Z fantazyi gminnéj (Czas 1885, Nr. 114).

— Nie wszyscy byliby z tego zadowoleni. Ja sam poniółbym strat nie mało, a nasz król Filip tam na scenie nie egzystowałby jeszcze.

— Istotnie? Czyż jest tak młodym?

— Dopiero na wiosnę skończy dwadzieścia dwa lat.

— Znasz go więc pan dokładnie? Jesteś obznajomiony ze stosunkami teatralnemi?

— Trochę.

— Często bywasz pan w teatrze?

— Tylko w zimie. Jestem właścicielem ziemskim i cały rok z gospodarstwem mam do czynienia. Dopiero w zimie, gdy roboty są ukończone przybywam na kilka miesięcy do stolicy. Ale dziwi mnie, że pani nie znasz przestawiciela króla Filipa, — jest to bardzo lubiony aktor.

— Być może — lecz ja pierwszy raz widzę widzę go na scenie. Musisz pan wiedzieć, że prawie nigdy nie bywam w teatrze; tak raz tylko byłam na operze na przedstawieniu «Czarodziejskiego fletu» — a «Don Carlosa» pragnęłam widzieć za jaką bądź cenę.

— Zatem jest to druga bytność pani w teatrze?

— Tak jest!

— Istotnie? Jakże to być może?

— Mój ojciec jest radcą w Ministeryum. Pensyę ma niemałą, ale jeszcze prócz mnie sześć córek i dwóch synów posiada. Pojmiesz pan łatwo, trzeba się oszczędzać. Lękamy się strasznie wysokich cen teatralnych, a na operę chodzimy tylko wtedy, gdy tato awansuje.

— Rozumiem.

— Właściwie niestosownem jest, że zdradzam panu nasze stosunki domowe, ale zdaje mi się jakoś tak, że pan nie jesteś obcym i że wszystko muszę panu powiedzieć co mi przejdzie przez głowę.

— Bardzo uprzejmie! Wszelako jakże się stało, że...

— Że jestem dzisiaj tutaj? Czyż to także mam panu wypaplać? A więc jakkolwiek ciężko mi: Jestem tu w sekrecie.

— Tak?

— Rzeczywiście! — Musiałam raz widzieć «Don Carlosa». W tym celu z drobnych oszczędności składałam grosz do grosza, krajcar do krajcara aż zebrała się suma odpowiednia na kupienie biletu. Ach! panie! plan ten zajmował mnie tygodniami całemi. Jakże sobie dokładnie wszystko wyobrażałam! Jak wymknę się cichutko z domu do teatru! Jak odkryciem mej nieobecności rodzice się przerażą, siostry zmartwią, bracia zaś do wszystkich krewnych i znajomych zostaną wysłani. Zdawało się to być tak zajmującem! Lecz teraz. — — —

— Teraz?

— Teraz mi przykro, uczułam już pewien rodzaj skruchy, wychodząc z domu.

— Aha. —

— Postąpiłam nierozważnie.

— Zapewne.

— Rodzice i rodzeństwo będą o mnie bardzo niespokojni. Coś podobnego jeszcze się u nas nie wydarzyło. Ojciec niezawodnie się zgniewa.

— Słusznie.

— A potem poruszać się w tym tłumie, między tylu ludźmi, iść sama do domu ciemnemi ulicami tak daleko! Oh! byłam nader lekkomyślną.

— Nie przeczę.

— I pan także?! Nie będę już mieć żadnej przyjemności w słuchaniu ulubionej sztuki. Żal i skrucha zatruła mi radość całą. Dziewczyna przecież godną jest pożałowania!

— Oczy pani pływają we łzach, nie powinnaś brać rzeczy tak seryo. Dopomogę pani w jej ciężkiem położeniu.

— Jakimże sposobem?

— Przedewszystkiem odprowadzę panią do domu i wszelkich wypadkach będę jej obrońcą. Ażeby ojciec się nie gniewał wejdę w grono rodzinne.

— O! toby był piękny środek!

— Nie wierzysz pani?

— Młodego mężczyznę mieć za towarzysza! Sprawiedliwy Boże! Ojciec byłby w stanie mnie z domu wypędzić!

— Proszę, proszę. Ej już ja go uspokoję.

— Nie bardzo ufam temu!

— Przemówię do niego poważnie. Powiem, że szczęśliwy wypadek sprowadził mnie do pani, że byłem jej opiekunem i że nic złego pani się nie wydarzyło. Poczem dodam, że wdzięki jej, świeżość młodociana i urocza otwartość zrobiły na mnie głębokie wrażenie i w zakończeniu tego wieczora jeszcze poproszę o śliczną rączkę. To przecie ojca rozbroi! Jakże?

— Cóż za pomysł! Umrzeć można ze śmiechu! A gdyby pana wzięto za słowo?

— Nie skarżyłbym się wcale. Oczywiście podobny proceder nie załatwia się tak szybko. Lecz cóż ojciec pani odpowiedziałby na moje oświadczenie?

— Rozważmy to.

— Dobrze! Może powiedzieć: «Mój panie, nie podoba mi się nagle wybuchający ogień słomiany, żałuję więc, że prośby pańskiej przyjąć nie mogę». Czy tak?

— Hm — nie wiem. Ojciec siedmiu córek rzadko powie coś podobnego,

— Doskonale! Zatem prawdopodobnie tak odpowie: «Mój panie, rozstrzygnięcie tej sprawy zależy od mojej córki.» Wtedy pani zdanie swe wyrazisz.

— Istotnie! Tak być może.

— Wówczas pani znowu będziesz mogła różności prawić. Przedewszystkiem możesz oświadczyć, że podobam się pani bardzo jako rycerz i towarzysz, ale nie jako małżonek. Poczem ubolewając nad losem moim, oddalę się z pełnym szacunku ukłonem.

— Za komedyą, którą chcesz pan grać z moim biednym ojcem zasłużyłbyś, żebym całkiem coś innego wyrzekła.

— Istotnie! Możesz pani powiedzieć także coś innego. Możesz np. rzec: «Ten pan Berchthold, gdyż nazywam się Gustaw Berchthold, nie zrobił na mnie złego wrażenia. Ale żeby podać mu rękę na życie całe, musiałabym go bliżej poznać.« Gdy pani to odpowiesz podług wszelkiego prawdopodobieństwa, ojciec ośmieli mnie do częstych odwiedzin, i ja za usługę jaką dziś pani wyświadczyłem, będę mógł kilka razy cieszyć się jej miłem towarzystwem. Po czterech tygodniach dozwolono będzie pani starania moje odrzucić.

— Zatem musi się stać jedno z dwojga?

— O! nie! — Prócz powyższych odpowiedzi jest jeszcze trzecia. Możesz pani powiedzieć: «Małżeństwo jest grą na loteryi, a kto już raz rękę w urnę położy, chociażby najdłużej mieszał losy, nigdy nie może być pewnym wygranej. Dlatego z tym panem Berchthold szybko chcę skończyć. Może los, który z nim wyciągę nie będzie pustym. Wprawdzie do najwięcej wygrywającego on nie jest podobny, ale będę zadowoloną, gdy tylko przedstawi się jako secco-terno».

— Chciałabym widzieć minę pańską, jak to wyrzeknę.

— Uciechę tę łatwo sobie pani możesz sprawić, przyczem uszczęśliwisz mnie niewypowiedzianie.

— Czy teraz mówisz pan seryo?

— Zupełnie seryo! Jużem wymienił niezrównane przymioty pani, które serce moje podbiły.

— Czyż istotnie zrobiłam na panu wrażenie?

— Możesz pani wątpić?

— Ależ pan z początku nie zwracałeś na mnie wcale uwagi. Inaczej nie byłabym się odważyła przemówić.

— Będę szczerym. Gdy usiadłaś, spojrzałem na panią przelotnie, a ponieważ nie jesteś nadzwyczajną pięknością, nie wpadło mi nic w oczy.

— Przez cały akt nie popatrzałeś pan na mnie ani razu.

— Czyż się pani gniewasz za to? Proszę, przebacz mi ten grzech wielki! Za pokutę życie całe poświęcę na jej przypatrywanie się.

— Hm.

— Jakąż otrzymam odpowiedź?

— Dość wcześnie dowiesz się pan jej treści.

— Czy to pogróżka?

— Ponieważ nie jestem nadzwyczajną pięknością.

— Bezsprzecznie. Ale mimo to wdzięk pani młodzieńczy, wesołe spojrzenie dobrych oczu, filuterny śmiech każdego musi oczarować.

— Chcesz pan pokryć niegrzeczność swoją.

— Chcę panią podziwiać całe życie. Czyż mnie odtrącisz?

— Może.

— Lub może zrobisz nadzieję pomyślnej odpowiedzi?

— I to możebne.

— Albo przyjmiesz oświadczyny?

— Rzecz wymaga rozwagi.

— Niepewność ta jest torturującą! Czuję, że odmowa dotknęłaby mnie boleśnie. Nie odważę się starać o panią. Lub — mogęż się odważyć?

— Odważyć — ośmielić — można się zawsze!

— I pani śmiejesz się przy tych słowach — spoglądasz na mnie tkliwie. O! droga — luba narzeczono moja! Jesteś.....

— Pst — kurtyna się podnosi!....

MÓDL SIĘ!

Kiedy skroń twoją ciernie oplotą,
Kiedy pierś zniszczy zwątpień pożoga,
Zalany łzami, z cichą tęsknotą
Módl się... do Boga!

Kiedy w posępnej życia podróży,
Krew ciemną strugą z serca pociecze,
W dyademie głogów, marząc o róży
Módl się, człowiecze!

Kiedy zagasną promienne świty,
Miast pytać senny: Kędy ma droga?
Miasto odważnie pobiedz na szczyty
Módl się... do Boga!

Skroń twa pobladła bracie znękany,
W oczach tęsknota, na twarzy trwoga,
Wszak ty się modlisz łzami zalany,
Modlisz!.. Do Boga...!

Wszak ty się modlisz! Modlitwy twoje
Serca miłosną pieśnią uciszą
I wszystkie żądze i niepokoje,
Co w piersiach dyszą.

W niepokalanej szacie westalki,
Nieświadom uczuć szalonej wojny,
Zdala od ludzi, zdala od walki
Uśniesz spokojny...

Cóż cię obchodzi, że świat utraci
Jednego więcej rycerza ducha.
Ty idź w dal jasną, miast wspierać braci,
Gdzie ciemność głucha.

Cóż cię obchodzi, że ludzkość kona,
W przedśmiertnych mękach miota się drżąca
I czeka smutno, czeka stęskniona
Swojego słońca.

Choć wiesz, że słowo twe lud pokrzepi,
Miast biedz gdzie w sercach króluje trwoga,
Miast koić bóle, ty módl się lepiej,
Módl się... do Boga!

Or-ot.

ECHA.

Kongres literacki w Antwerpii. Teatr krakowski. Skandale Pall Mall Gazette Salon Biasiona. Zdrowie. Patti. Loterya artystyczna.

Kto nie słyszał lub zapomniał bajeczki «o czapli, co chodziła po desce» to mu ją «powiedzą jeszcze»... na kongresie literackim w Antwerpii. Ta zabawa dziennikarzy i literatów szumnie ochrzczona «kongresem» odbyła się bowiem w tem mieście, zmuszona zaniechać pierwotnego projektu—zjazdu w Madrycie. Cholera stanęła na przeszkodzie dobrym chęciom podróżowania na półwysep pirenejski, kongresowicze poprzestali na upieczeniu dwóch mięs przy jednym ogniu tj. wygadania się na zjeździe i obejrzenia wystawy. A nawet to drugie było korzystniejsze, bo zjazd nie przyniósł zgoła nic więcej, jak czcze gawędki «o własności literackiej» mające w praktyce wartość..... bajki «o czapli, co chodziła.... itd.» Co to bowiem pomogą wszystkie postanowienia kongresu, kiedy *de facto* żadne z nich nie wejdzie w wykonanie. Najśmieszniejszym zaś jest faktem udział Polaków w podobnych naradach.

Tygodniki tłumaczą mnóstwo powieści, nie przesyłając autorom nawet egzemplarzy, tłumaczeniami żywi się cała zgłodniała rzesza ptactwa literackiego, artykuły francuskie i niemieckie streszczają nasze «poważne pisma». Nad czem więc tu radzić?..

Czy nasi delegaci w zjeździe są gwarancyą zabezpieczenia własności cudzoziemców, kiedy o ile pamiętamy p. Szymanowski, członek kongresu nie mógł poskromić «Dziennika dla wszystkich» za przedrukowywanie telegramów z «Kurjera warszawskiego».

*
* *

Przez ostatnie miesiące, dobrze już «ogórkowe» słynnego «węża morskiego» zastąpiła *Pall Mall Gazette.*

Do tej pory wiedziano dwie rzeczy: że «Pall Mall Gazette» jest organem londyńskim z dążnościami liberalnemi i że pruderya Anglików jest przysłowiową. Tymczasem okazało się, że organ liberalny może zedrzeć podobną fałszywą maskę ze społeczeństwa. Okazało się mianowicie, że zepsuty Paryż jest uosobieniem dziewiczej niewinności w porównaniu z Londynem. Ekscesa jakie wyprawiały kobiety tam upadłe z młodemi dziewczętami przechodzą wszystko dotąd opisywane. Działy się w «surowej» Anglii rzeczy, o których bez osłony pisać niepodobna. Ciekawszych czytelników odsyłamy do książkowych opisów «londyńskiego skandalu» (po niemiecku i francuzku) lub artykułów w «Kurjerze porannym» p. t. Haracz dziewic».

*
* *

Smutna dola pracowników sztuki u nas, niezawodnie najgorzej wynagradzanych za życia jest niemałem nieszczęściem rodzin, pozostałych po artystach i literatach. Ludzie, którzy całe swe życie, talent, pracę składają społeczeństwu na pożytek, nie mają zapewnienia, że ich dzieci i żony najpierwsze będą mogły zadowo

lić potrzeby. Tą smutną koniecznością powodowani, pod egidą krakowskiego «Koła art. lit.» założyli towarzystwo «Pomocy», które ma czuwać nad zabezpieczeniem losu wdowom i sierotom, pozostałym po zmarłych artystach i literatach. Że jednak szczupłe fundusze nie pozwalają towarzystwu należycie rozwinąć swą działalność, przeto zarząd widział się zmuszonym do ogłoszenia i urządzenia wielkiej *Loteryi artystycznej*, w której wygrane stanowić będą dzieła polskich artystów, jakoto: obrazy olejne, szkice, akwarelle, rysunki, rzeźby, oraz albumy artystyczne, sztychy, ryciny itd. itd. Liczbę losów oznaczono na 20·000, wygranych 2000. Na każde 10 losów z numerami po sobie następującemi, przypada jedna wygrana. Ciągnienie odbędzie się 3. marca 1886. Niska cena biletów (50 ct.) jak i cel sam powinny zachęcić publiczność naszą. U koła Fortuny szukamy nieraz szczęścia dla przyjemnośah. Poszukajmyż raz dla korzyści tych, którzy potrzebują naszego poparcia i którym się ono od nas należy.

*

* *

Krakowskiej młodzieży przybyła instytucya której istnienie powinno być utrwalone. Oto po długich naradach i staraniach udało się założyć «stowarzyszenie spożywcze «*Zdrowie*, którego celem jest dostarczanie uczącej się młodzieży taniego i zdrowego pokarmu. Nie potrzebujemy się rozwodzić, jak potrzebną była podobna instytucya dla naszej młodzieży i ze względów zdrowia i życia towarzyskiego. W obszernym lokalu zbierać się może liczne grono młodego pokolenia i na wspólnej gawędce czas spędzić w kółku najbliższem. Że instytucya podobna była konieczną, posłużyć może fakt, iż w pierwszym tygodniu jej istnienia zapisało się 280 członków. Gdy liczba stałych stołowników wzrośnie a i ofiarność publiczna zasilać będzie kuchnię akademicką, *Zdrowie* będzie mogło odpowiedzieć największemu celowi — wydawaniu bezpłatnych obiadów niezamożnym kolegom.

*

* *

Od Stycznia istniał w naszem mieście Salon artystyczny p. Biasiona, w którym pomieszczane były utwory pędzla i dłuta. Obecnie od miesiąca salon został zwinięty. Co stanęło na przeszkodzie rozwojowi, (gdzieindziej mających powodzenie instytucyj) salonu, nie wiemy, ale godzi się przypuszczać, że w mieście, gdzie tylu malarzy i rzeźbiarzy pracuje, istnienie salonu miałoby racyą bytu, choćby dla względów konkurencyjnych, przydatnych do powiększenia normy cen za obrazy i rzeźby.

*

* *

Najwidoczniej opinia o nas za granicą nie zmieniła się dotąd. Wyrobili ją nam pankowie, słynni «nieobecni». Nietylko w hotelach i domach przyznają nam hojność i rozrzutność, bo oto p. Adelina Patti, niezadługo uraczy Warszawę swym słowiczym śpiewem, każąc sobie płacić 6000 rs. za wieczór. Że zagraniczna aktorka, nie mogąca już wyzyskiwać Ameryki i środkowej Europy, pragnie ostatni jej zakątek zwiedzić, że podrujnowane gardziołko chce nam zaofiarować, tego nie można mieć jej za złe, przecież i p. Klamrzyńska chce robić furore w Petersburgu — to fantazya artystyczna, ale dziwi nas, że w chwili, kiedy mamy na głowie rozlokowanie pruskich wygnańców, robotników bez zajęcia, niskie ceny zboża i zastój w przemyśle, możemy na seryo uważać podobne zaofiarowania. Niech p. Patti wie, żeśmy znowu nie tacy bardzo... rozrzutni, jak się wydajemy.

*

* *

Ludzie bywają często podli, oszukują się wzajemnie i działają jedni na niekorzyść drugich. Ale działać na niekorzyść społeczeństwa, zostającego w warunkach wyjątkowych, to podłość bezgraniczna. Dopuścił się tego niejaki Krzeczkowski, naczelnik filii banku polskiego w Włocławku, kradnąc z kasy gotówkę na sumę 80000 rs. i fałszując podpisy na znaczne sumy, bo dochodzące do 100·000 rs. Złodziejstwo to, na którego napiętnowanie słów niema, spełnione zostało w chwili, kiedy spodziewana reorganizacya banku polskiego na kantor banku państwowego powinna była nas zastać w największym porządku. Smutno to nadzwyczaj, że podobnego nadużycia dopuścił się człowiek inteligentny i wybitne zajmujący stanowisko. Nieskazitelną opinię starej instytucyi pod koniec jej działania splamił jeden łotr. Można zawołać razem z poetą «O psy, pospuszczane z opinii łańcucha, gdzie na was znaleść bicz o potępieńcy ducha!»

Nieporozumienia, jakie miały miejsce pomiędzy dyrekcyą teatru krakowskiego a pięciu pracownikami sceny zakończyły się w ten sposób, że p. Koźmian ustąpił z zajmowanego przez lat kilkanaście stanowiska kierownika sceny, że przelał swe prawa dyrektorskie na pana Gliksona, b. sekretarza teatru, wyjednał mu przedłużenie koncesyi, ekspirującej niebawem na lat kilka i że kierunek artystyczny w nowem przedsiębiorstwie powierzono znanemu komedyopisarzowi, autorowi «Gorączki złota» i w. innych p. Zygmuntowi Sarneckiemu. Jak dalecy byliśmy od polemicznej wrzawy przed powyższem załatwieniem sporu, tak i dziś nie stawiamy nowemu zarządowi żadnych przepowiedni. Notując, że z malkonentów poprzednich na scenę powrócił p. Rygier, ocenę «sił i środków» sceny zostawiamy specyalnemu sprawodawcy.

*

* *

Z teatru. Układ repertuaru sceny krakowskiej pod nowem kierownictwem p. Sarneckiego w dotychczasowym rozwoju nie nastręcza nam wielu uwag; przy składzie personelu, którego dobór pozostawia do życzenia i trudnościach, jakie ma do zwalczenia kierownik obejmujący ster rządów po bezkrólewiu, trzeba nieco pobłażliwszem okiem spoglądać na pierwsze kroki dyrekcyi. Nie wchodząc w ocenę kilku wznowień i *Księcia Zilah* Claretie'ego, który przekonał nas, że co ładnem jest w powieści, nie bywa interesującem w dramacie, poświęcamy notatkę dwóm oryginalnym stukom; pierwsza z nich to *Lis w kurniku* Zalewskiego. Autor «Złego ziarna» w bieżącym roku darzy nas drugą komedyą z rzędu. Czy ten pośpiech w tworzeniu, czy pospolitość tematu obranego sprawiły, że sztuka zawiodła oczekiwania publiczności, nie śmiemy przypuszczać, ale przyznać musimy, że p. Zalewski, zręczny dotąd majster scenicznej roboty, tym razem nie utrzymał się na wysokości, dotąd przez przyjaciół mu przyznawanej. Lis ten niema w sobie nic coby, widza zajęło, dusi wprawdzie w kurniku, ale właściwie... gąski parafialne. Główna postać komedyi, doktór jest duchem opiekuńczym wszystkich, za wszystkich też mówi, radzi, nawet działa. Przy jego swadzie, ruchliwości i zabiegach, wszystkie żywioły sztuki tracą na żywotności, są martwemi postaciami, jedną korbą poruszanemi, a co najważniejsza, że nawet postać tytułowa ulega tej wszechwładnej woli... języka. Ów warszawiak, przyjeżdżający na prowincyą dla złowienia żony z posagiem, a wikłający się w sieci miłosnych wspomnień i dawnych obowiązków względem rejentowej, po świetnej zapowiedzi na bohaterskość, od końca Igo aktu staje się bierną jednostką a skarcenie, jakie mu gotuje doktór spotyka go tak niespodzianie, że widz nie zdaje sobie sprawy, czem zawinił właściwie człowiek, który prawie, że nie działał. Zwykłe zalety pióra p. Zalewskiego ujawniły się w swobodnym dyalogu, zamaszystej charakterystyce postaci komicznych (aptekarz) i umiejętnej budowie trzech pierwszych aktów, dopóki słabnąca akcya nie zamiera pod wpływem opanowania sytuacyi przez doktora.

Drugą nowością był dalszy ciąg debiutów autorskich p. Rzewuskiego, który po *Optymistach* zarekomendował nam *Doktora Faustynę*. P. Rzewuski należy do nielicznych u nas debiutantów, którzy przy każdym występie zwykli prezentować się z postępami w pracy. Od pierwszej jego próbki scenicznej; *Na łaskawym chlebie* (Warszawa 81) do czasu wystawienia ostatniej pracy minęło niespełna lat cztery i p. Rzewuski zdołał się otrząsnąć z wielu młodzieńczych błędów, stając przed publicznością, jako autor patrzący na świat oczyma surowego widza ludzkich błędów. Sądzić by nawet można, że większą uwagę zwraca autor na stronę ujemną natury ludzkiej, że w motorach działań i postępków szuka najczęściej sprężyn natury ujemnej, jej przypisując monopol działania. Niezaprzeczenie, kto ciemne bierze tło rysunku, dla harmonii dobiera barw ciemnych. Nie można z tego upodobania stawiać zarzutu, można tylko żałować, że pióro tak zdolne, jak p. Rzewuskiego w duszy ludzkiej nie chce dopatrzyć pierwiastków dodatnich, że malując cienie, pomija światła. Utwory jego nabierają przez to charakteru ponurego, postacie są albo zbrodnicze z gruntu, albo słabe (*Optymiści*). A w sytuacyach nie daje autor drogi do wyjścia, nie pozwala wydoskonalić dodatnich zaczątków charakteru, jeśli któremu się trafi. Doktór Faustyna stwierdza to zdanie, to kobieta niewątpliwie dobra, nawet starająca się okazać energiczną (bez powodzenia), ale ulega okolicznościom, jej matka ma najlepsze chęci, sparaliżowane grzeszną przeszłością, Sikorski, marzyciel a niby realista (por. stu-

denta z «Optymistow» nie może wykonać zamiarów, bo staje mu na przeszkodzie raptowne postanowienie Faustyny. Za to Klarze, Mamajskiemu, Jerzemu wszystko się wiedzie. A więc to nie upadek w walce z okolicznościami, lecz porażka, którą autor gotuje dodatnim typom przy zetknięciu z ujemnemi. A dlaczego? Czy chciałby dowieść, że zacność nie popłaca, lub że niema sił opornych w walce ze złem? Tak sądzićby można z pozoru, ale kto zna kształtowanie się pojęć w młodym umyśle, ten wie, że ta umyślna maskarada «czarnych charakterów» jest owocem wyszukiwania, że umysł ten nie tworzył, lecz szperał w galeryi łotrów, aby wynaleść typy co najgorsze. Nie stajemy w rzędzie opozycyi, zarzucajacej, że autor *nas* czarno maluje. P. Rzewuski i w pierwszych utworach i w przedmowie do *optymistów* ozaznaczył, że szuka pierwiastków charakteru w naturze ogólno ludzkiej, wykluczając plemienność. Stojąc na kosmopolitycznem stanowisku analizy serca ludzkiego, autor przy tej wiwisekcyi z góry przygotowywa ciemne okulary. Potwierdzi to mniemanie treść Dra Faustyny. Pan Jerzy Darski, żeniąc się z kobietą upadłą, wiedział o tem. Miłość kazała mu być ślepym na ten czyn żony i... na owoc grzechu, syna Władysława (por. Optymistów). Ale po latach kilkunastu, dorośnięciu Władysława i legalnej córki Faustyny (takie poświadczenie jest bowiem konieczne przy rodowodach bohaterów p. Rz.) p. Jerzy Darski zaczyna romans z daleką kuzynką, Klarą; pożycza od niej pieniądze, romansuje z nią, oddaje władzę w domu i gotuje w faworycie nieprzyjaciółkę dla uczciwej Faustyny. Sposobnością, która stawia te kobiety w sytuacyi otwarcie wojowniczej jest pomoc dla Władysława, który dla pokrycia deficytu popełnionego w banku potrzebuje znacznej kwoty. Faustyna chce uzyskać dla brata pieniądze, Klara nie pozwala i znajduje sprzymierzeńca w swym kochanku, p. Darskim. Ten p. Darski ma powody nienawidzieć Władysława, wielkiego szałaputa i... cudzego syna. I Faustyna ma sprzymierzeńców, są nimi: matka i Sikorski, przyjaciel domu. Walka jest nierówną, bo matka nie może objawić swej woli, będąc skrępowaną... grzechem młodości. Po silnem starciu walczących żywiołów w końcu II. aktu, starciu, które wypada na niekorzyść Faustyny, sprzymierzeńcy Władysława, szukają ostatniego ratunku w nakłonieniu matki. Ale ta przed samym już zamierzonym wyjazdem ustępującej w walce Faustyny wyznaje przed córką swą winę i prosi o pozostanie, tłumacząc swą fatalną sytuacyą wobec męża i jego kochanki. W doktorze Faustynie córka zwycięża dumę i ambicyą, zostaje dla ochrony matki, a kiedy adwokat pozbawionego pomocy Władysława widząc zabicie projektu ocalenia, mówi: «przegrałem», Faustyna pociesza go zdaniem: «moralności bezwzględnej niema, pojęcia obowiązku ciągłym ulegają zmianom, tyle powinno być kodeksów, ile sprzecznych warunków życiowych.»

Naszem zdaniem, Faustyna po zwycięztwie nad ambicyą własną, słowami «brata ocalić nie możemy» przyznaje się do przegranej w walce własnych zamysłów z okolicznościami, i choć może plon jest bogatszy z ofiary, którą składa na ołtarzu miłości dziecięcej, nie mniej jednak jest pobitą.

Układ aktu trzeciego jest wadliwy, dwóch poprzednich umiejętny, scena spotkania Klary z Faustyną pomyślana dobrze, szkoda, że nie jest zakończeniem aktu.

Mise en scène było gustowne.

Przeróbka powieści Sienkiewicza «Ogniem i mieczem» na obraz sceniczny dowiodła, że dyrekcya zrozumiała konieczność dania niedzielnej publiczności *bomby* o swojskim temacie. Znając powieść, otwarcie przyznajemy, przygotowani byliśmy na coś gorszego; wcielenie w dramat powieści jest to połączenie wody z ogniem, zwłaszcza powieści bez romansu i o jednostajnej akcyi. Czy p. Pobóg sam, czy pomocna ręka reżyseryi pousuwała ważniejsze braki, niewiemy, ale całość wypadła dość składnie i zajmująco. Wprawdzie pod temi dramatycznemi nożyczkami padł Longinus Podbipięta, bo oprócz miecza, nic z niego nie zostało, wprawdzie większość humoru Zagłoby została... w powieści, wprawdzie opisy i krwawe boje w wyobraźni tylko się snuły, ala samą nić wątłego romansu uratowano; również wyraźnie odbija się stosunek Bohuna do Heleny. Za to Wołodyjowski jest gorszym manekinem niż Rzędzian, któremu odjęto całą filuterność, Tuhaj-bej stał się niemal śmieszny (po części za sprawą p. Glogera), a Jeremi Wiśniowiecki zszedł do roli figuranta. Skrzetuski, jak i w powieści był w ciągłej podróży, postacie opizodyczne powieści znikły. Ale trudno się dziwić. Przy przerabianiu takiej powieści jak «Ogniem i mieczem» pozostawały dwie alternatywy. Albo streścić sam wątek romansu, pokazać najbliższe otoczenie i bohatera, albo dać fragment z powieści, jeden z obfitej liczby, zamknąć go w ramy całości. P. Pobóg wybrał pierwsze i ukazał *skielet* powieści, pierwotny szkic; robiło to wrażenie, jakby Sienkiewiczowi zabrano z biorka pierwszy plan do tej powieści, plan ustawicznie modyfikowany, pomnażany epizodycznemi postaciami, upiększony całym aparatem powieściowych efektów. Że na tej przeróbce traci Sienkiewicz, to pewna, że publiczność zyskuje, to nie podlega wątpliwości, bo lepiej że jej pokazano coś swojskiego, niż one «Chaty pod lasem, za lasem, za rzeką, za jarem itd.», które od dawna się zestarzały, w których więcej tajemnic, podziemnych schodów i czarnego tła niż prawdy. Wystawa «Ogniem i mieczem» była staranna. Urządzenie sceny smaczne, nawet malownicze. Sceny zbiorowe potrzebują jeszcze pewnego wypracowania, co przy znanej inteligencyi naszych statystów jest arcytrudną rzeczą.

Przedstawienia sztuki p. Rzewuskiego i «Ogniem i mieczem» zaprezentowały cały niemal personal. Ze starych znajomych (dla dam: dawnych) p. Wolska, p. Kałużyńska, p. Wojnowska, pp. Werner, Solski, Konopka, pn. Barszczewska, p. Rygier prezentowali swe zalety i wady, jak dawniej; podnieść się godzi, że p. Rygier opracował Bohuna z zasobem talentu, inteligencyi i staranności, że p. Konopka wyrabia się na użytecznego pracownika i że pn. Barszczewskiej nareszcie powierzono role z zakresu jej zdolności, złożyła też dowody znacznego postępu w akcyi. Po obniżeniu dykcyi, nadto koturnowej, pn. B. przedstawi swoje uzdolnienie w należytem świetle. Pn. Kałużyńska w «Dr. Faustynie» zadziwiła nas spokojem i umiarkowaniem swego głosu i ruchów, — obyż tak dalej bywało.

Z nowo zaangażowanych, p. Janowski zdaje się być pożytecznym w rolach lżejszych, do czego skłania go organ głosu, dźwięczny, ale za słaby do bohaterskich porywów, zanadto miękki do dramatu.

P. Antoniewski do inteligentnej dykcyi powinien dostroić ruchy, dotąd ostre i skrępowane. Pn. Ziembińska w uczuciowo-lirycznych rolach może być pożyteczną dla sceny, niemniej jednak pracować powinna nad głosem i ruchami, p. Gloger, komik-buffo o niewyraźnej wymowie i p. Winkler, podobuo na role p. Frenkla angażowany, zdolny charakterystyk, bez zasobów jednak humoru dopełniali obsady.

Wład. Szymanowski ma swoją kartę w dziejach historyi sztuki teatralnej, kiedy był faworytem publiczności warszawskiej, zdolnym reżyserem i cenionym przez krytykę artystą w całem tego słowa znaczeniu. U nas przeszczepił już z Warszawy sympatyą publiczności dla siebie, a uznanie zdobywa sobie każdą nową rolą.

Wznowienie «Slubów panieńskich» i wystawienie «Asa treflowego» zaprezentowało nowe nabytki sceny; panie Bissen - Janowską i Stuart: Zarówno jedna jak i druga w niewłaściwych rolach, nie przedstawiły się w należytem świetle, sądzić jednak można, że temperament sceniczny p. Janowskiej da się spożytkować w rolach odpowiednich naturze jej widocznych zdolności a p. Stuart po zdobyciu rutyny nie jedną rolę okrasi naturalnem zachowaniem i żwawą ruchliwością, w które to przymioty obok ujmującej powierzchowności, zaopatrzoną jest bogato. Nie mając w treści i osnowie «Asa treflowego» wiele do podniesienia, notujemy bardzo staranne uscenizowanie trudnego obrazu w kawiarni. Dużo było znać pracy reżyserskiej i smaku.

Poczciwy, stary Labiche swoim «Przyjacielem domu» darował nam chwilę wesołości. Duży to był zasób humoru u tego pisarza, skoro pomimo, iż go całe młodsze pokolenie francuskich «farsistów» naśladowało i niejedną sytuacyą zapożyczało, pozostał sobą, lekkim komedypisarzem, nęcącym publiczność samym urokiem nazwiska. Kiedy się wpatruje w tę łatwość pisarską, z jaką zbudowane są komedye autora «Wróbli» podziwiać należy to zapanowanie nad formą, będącą u niejednego z poważniejszych komedyopisarzy szkopułem, o który rozbijają się dobre nawet pomysły. U Labiche'a pomysł bywa słaby, wykonanie opłaca z lichwą ubóstwo tego pomysłu. «Przyjaciel domu» np. to biedny młodzieniec, który miał to nieszczęście, że bałamucąc mężatki, zaprzyjaźniał się z mężami, w nich samych miał pomocników i nawet dostarczycieli listów na miłosne wzywających schadzki. Z czasem, młody «Przyjaciel domu» żeni się, zrywa pęta młodzieńczych grzechów i pragnie w ustroniu zacisznem spędzać miodowe miesiące. Ale przyjaźń mężów mści się na nim; i ci ludzie raz przyzwyczaiwszy się do niego, nie opuszczają go

ani na chwilę, przeszkadzają w pożyciu małżeńskiem i zamęczają go nieustanną troskliwością o jego sprawy, zdrowie i żonę. Ta troskliwość mężów, ktorzy dla «Przyjaciela domu» (Celimara) mogą żywić wszystkie inne uczucia krom wdzięcznosci i przyjaźni, wytwarza cały szereg kombinacyj i sytuacyj, z ktorych jedna przewyższa drugą komizmem, wesołością i dowcipem. Do łez pobudza śmieszna scena, kiedy jeden z mężów, wdowiec już, opłakując cnotliwą(?) żonę przed Celimarem, ofiaruje się jechać z młodem małżeństwem na wieś i pilnować ich. Uwalnia się wreszcie od natrętnych przyjaciół Celimar, żądając od nich pożyczki pieniędzy.

P. Szymanowski, jako «Przyjaciel domu» był w swoim żywiole, grał z humorem i werwą o ile nie paraliżowało go otoczenie, z ktorego jeden p. Siemaszko dostrajał się do tonu farsy.

«Babunia» Cadola mimo niezaprzeczonych zalet technicznych nie zdołała zająć widzów, nie posiadając ani w temacie, ani w sytuacyach nic nowego, jedynie jako pole popisu dla wytwornej gry pani Hoffmanowej miała racyę bytu w reperturze.

To samo odnosi się do «Przekonań papy» Gondineta, fraszki zręcznie napisanej, przystępnej jednak dla ogółu francuskiego, u nas często niezrozumiałej.

«Pst» pana Zygmunta Przybylskiego jest bezpretensyonalną jednoaktówką, pomyślaną zręcznie, tu i owdzie chromającą na niezupełne wykończenie, niemniej jednak staranie u nas wystawioną.

Wystawieniem «Koncertu» Fredry nie oddano przysługi pamięci poety. «Koncert» powinien był pozostać w ukryciu, bo aczkolwiek p. Ziembińska i p. Solski dokładali wiele starań w grze, jednak nie uratowali tego, co sam autor nie poczytywał pewnie za wartościowe. Kilka wznowień nie zawsze szczęśliwych, dały sposobność poznania kilku użytecznych sił (np. p. Śliwickiego, rokującego nadzieje młodego pracownika) uzupełniają repertuar tego sezonu, w ktorym «Karyerowicz» Blizińskiego i «Marya Magdalena» Hebbla załugują na obszerniejsze sprawozdanie w przyszłym numerze.

No.

* * *

We Lwowie zaczęło wychodzić nowe pismo humorystyczne «Śmigus», ktore dotychczasowemi numerami złożyło dowod, iż stanowisko pisma satyrycznego pojmuje poważnie i że nie uganiając się za skandalami i napaściami osobistemi, ostrem piorem chłoszcze przywary społeczeństwa. Cieszyć się wypada, że na bruku lwowskim znalazła się garstka ludzi, która podnosi sztandar satyry, u nas dość lekceważony, wskutek obniżenia się poziomu humorystyki a i gonienia za łatwym oklaskiem gawiedzi. Redaktorem «Śmigusa» jest zaszczytnie znany w literaturze Bolesław Czerwieński.

* * *

«Kraj» petersburski wpadł na dobrą mysl uczczeia trzydziestoletniej rocznicy zgonu Adama Mickiewicza. Oto uprosiwszy grono naszych i zagranicznych pisarzy stworzył ciekawą mozajkę prac, poświęconych pamięci wieszcza. Jest więc artykuł Brandesa o «P. Tadeuszu», p. Morfila o «Mickiewiczu w lit. angielskiej», p. Połońskiego o Mickiewiczu w lit. rosyjskiej, p. Franko o Mickiewiczu w lit. rusińskiej, p. Zippera o Mickiewiczu w lit. niemieckiej, dalej artykuł Spasowicza o «Bajronizmie Mickiewicza» prace: Lenartowicza, Incognitusa, Marburga, wreszcie listy Chojeckiego, Zaleskiego i kopia autografu Mickiewicza.

W tymże numerze p. Prus próbował objaśnić «Farysa» za pomocą nowej metody, która jest wysoce humorystyczną. nie mając do tego pretensyi.

* * *

Ananas. «Nie uchodzi», jak powiada kapelan w «Damach i Huzarach», z racyi bliskiego pokrewieństwa tych wydawnictw «Przeglądowi» pisać bardzo życzliwie o «Ananasie». Obowiązek ten o tyle jest jednak łżejszym do spełnienia, że sprawozdawca, chwaląc «Kalendarz humorystyczny» nie potrzebuje... rozmijać się z prawdą. Dotąd nie było u nas podobnych wydawnictw. Nie chcemy w tych słowach czynić zarzutu, że wszystkim humorystycznym wydawnictwom naszym, brak humoru, nie chcemy też «C. k. dyrekcyi humoru w Krakowie» przyznawać monopolu na leczenie kwaśnych usposobień, ale konieczność nam nakazuje skonstatować, że «nie udawały się» podobne pisma w Galicyi. «Ananas» złamał te lody...

Tegoroczny zeszyt zdobi karta tytułowa ołówka Wł. Szymanowskiego, — ma on ustaloną reputacyę, w Warszawie nadto naną, aby ją powtarzać, J. Kossak, który następną zajmuje stronnicę nie potrzebuje reklamy. Trwałą sympatyą cieszą się szkice pp. Ichnowskiego i Kruszewskiego—jest ich w «Ananasie» kilkanaście. «Autor kłopotów Starego Komendanta» nowellą «Pierwszy zawod» nie zawodzi tych, ktorzy jego pióro cenią. «Kroniki» p. K. B. stanowczo nie reklamuję, bo to już «nie uchodzi». (Radzę odczytać, przyp. zecera). Piosnki Bartelsa przypominają satyrę tego pisarza z czasów największej twórczości tego popularnego autora. Paul de Coś, przysięgły humorysta «Kolców» wywiązuje się z tytułu i zadania godnie, młodszy jego kolega z tejże oficyny wesołości, Duduś wstępuje w ślady towarzysza.

Trudno tu streszczać losy «Pani Kaznaczejowej» Lermontowa w udatnym przekładzie p. Kozłowskiego lub wyliczać co napisano w «Senniku egipskim», jaka satyra mieści się w «Przepowiedniach» i co p. Zengteller mówi o «Łydeczkach». Po za przepisami kolejowemi, pocztowemi, kalendarzami i wyjątkami z «Pereł humoru» jest «Kronika za rok 1885» który zdaniem autora

...Świat nazwie rokiem głupstwa urodzaju
Hiszpan rokiem cholery, galicyjska prasa
Rokiem gruszek na wierzbie i rokiem Dykasa.

Co wypowiedziawszy, zalecić można «Ananasa» wątpiącym i strapionym do odczytania i rozważenia ku nauce i rozrywce. Zresztą po co go zalecać, kiedy wydawca drukuje już *trzecie wydanie.* Tego to jeszcze w Galicyi chyba nie bywało!.....

Zastępca kronikarza.

* * *

Doroczny Wieczór Mickiewiczowski odbył się zwyczajem lat dawnych w dniu 27 b. m. staraniem i za inincyatyą «Czytelni akademickiej», która od r. 1873 zajmowała się zorganizowaniem tych uroczystości. Tegoroczny Wieczór tem się różnił od poprzednich, że nie rozpoczynała go przemowa delegata młodzieży i nie kończyło przemówienie profesora Uniw. Dzienniki donoszą, iż ta zmiana ustalonego tradycyą programu nastąpiła wskutek nieporoznmień Władzy uniwersyteckiej z Zarządem «Czytelni Akademickiej» i że powodem nieporozumień miała być treść przemówienia. Nie wchodząc na razie w szczegóły tej sprawy, wyrażamy żal, że te nieporozumienia wynikły w tak uroczystej chwili.....

Program koncertu — tę bowiem cechę miał Wieczór — wypełnił chor akademicki, orkiestra, śpiew solowy p. Langie i deklamacya p. Maryi Wisnowskiej.

Chóry akademickie pod umiejętną i energiczną batutą pana Barabasza zadziwiały «czystością i dziwną harmonją pieni», czego w zupełności nie można przyznać chórowi żeńskiemu. Pn. Langie wypełniająca numer solowego śpiewu jest uczennicą słynnego Pivody z Pragi Czeskiej. Zapewne przez wdzięczność dla nauczyciela, chlubę przynosząca uczennica śpiewała pieśni czeskie w opracowaniu swego mistrza. Pn. Langie wspołudziałem swoim w koncertach w Pradze, Sztokholmie i Wiedniu zyskała opinię śpiewaczki utalentowanej, zachowującej subtelne frazowanie i czystość intonacyi; to uznanie potwierdziła występem przed naszą publicznością, która przyjmując artystkę nader życzliwie złożyła tem samem należny hołd talentowi artystki i uprzejmości gościa.

Nie mniej uprzejmą była pn. Wisnowska, witana i żegnana entuzyastycznemi owacyami, dawno u nas niewidzianemi. Warszawska artystka, obok wielkiego wdzięku i ujmującej powierzchowności posiada w naturze swego talentu przyciągającą naturalność, połączoną z finezyą. Wygłoszenie «Wiochny» i »Bajki» Goreckiego zarekomandowało pn. W. jako interpretatorkę inteligentną, wywiązującą się z zadania wdzięcznie i sympatycznie. Wyrobiona dykcya, umiejętne modulowanie głosu, obok rzeźbienia subtelności wiersza, złączyły się na dodatnie wrażenie, jakie na widzach i słuchaczach sprawiła.

* * *

Tygodnik powszechny przestaje wychodzić od Nowego Roku. Jeżeli zwinięcie tego właśnie pisma nie jest korzystnem dla czytelników, to wyznajemy, spodziewaliśmy się tego *krachu*, mówiąc najdelikatniej, w prasie warsz. W stcsunku do liczby czytającej publiczności, a tej u nas niewiele, Warszawa posiada pism sporo. Obok kilku specyalnych i kilku o wybitnej tendencyi, reszta stanowi wielkie jezioro dziennikarskiej wody, po której nie rzadko unoszą się kaczki, a w której obok ryb grubszych, niejedna płotka udaje szczupaka. Ta wielka ilość prasy zdemoralizowała znaczenie dziennikarstwa; stworzyła cały kontygens ludzi, dla których pióro stało się tak dobrem rzemiosłem, jak warsztat — a jeżeli wybrali piśmiennictwo to dla nabrania wpływu, którym prasa rozporządza. Ta falanga literackich robotników dostarczając hurto-

wnie towaru, obniżała jego wartość, dyskredytowała godność piśmiennictwa i wypierała tę część ludzi dobrej woli i zdolności, która dając treść, nie mogła się ostać w rywalizacyi z *ilością*, importowaną z gazet zagranicznych lub połowu za skandalami. Konieczność zaprowadzenia pewnej wzajemnej kontroli nad piszącemi jest widoczną a nie pomogą tu tyle syndykaty, ile zmniejszenie ilości pism zbytecznych, a tem ograniczenie liczby współpracowników, dla których literatura jest rodzajem przytułku. Zebrawszy ludzi dobrej woli przy kilku pismach uwolnimy się od przewagi żywiołu napływowego, którym jest naród samouczków dziennikarskich. Jak to już wzmiankowaliśmy, szkoda, że ta reforma zaczęła się zwinieniem redakcyi «Tygodnika powszechnego.» Pismo to w czasie swego dziewięcioletniego istnienia zachowywało program umiarkowanie postępowy, oględność w sądzeniu faktów, skrzętnie notowanych w rubryce *Rozmaitości* i takt w sprawach drażliwych. Kierownictwo literackie sprawowali śp. Stan. Grudziński a po jego ustąpieniu, Maryan Gawalewicz. Obaj, o ile nie krępowani oszczędnościami wydawniczemi, od nich niezależnemi, starali się o dobór prac interesujących i wartościowych. W ostatnich latach zamieścił «Tygodnik» powieści Kraszewskiego, Grudzińskiego, Lubowskiego, Rapackiego, artykuły Jarochowskiego, Duchińskiej, Dra Rollego, Morzkowskiej, Sowińskiego, Korotyńskiego i t. d. Stała *Pogadanka* Quisa (Gawalewicza) z prawdziwą zręcznością i lekkością feljetonisty pisana zjednała sobie ustaloną sympatyę, czego nie mogły się doczekać. . ilustracye w tem piśmie.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Stefania Chłędowska **Nowelle.** *Tomów 2. Lwów i Warszawa 1885.*

W jednej z nowelek swoich, p. Chłędowska powiada, że „Bóg stworzył artystę, szatan dorobił krytyka“. Jest to zdanie niewątpliwie niesłuszne, stawiające krytykę w fałszywem świetle, jak gdyby ona przeciwdziałała tworzeniu artysty, a przecież zdaniem samej p. Chłędowskiej ona tylko „podaje analizie, rozbiera, nicuje“ (II. 106). Ten rozbiór, to nicowanie jest tak koniecznem, iż niewątpliwie nieraz dopomaga do uwydatnienia piękności samego utworu, napozór bladego. A nawet jeżeli gdzie, to w „Nowelach“ p. Ch. ta potrzeba krytyki się przebija.

Dziś, kiedy po autorce pozostała pamięć najlepsza i kiedy nazwisko p. Chłędowskiej chlubnie zapisuje się kartach nowelistyki naszej, wszelkie rady straciły swą siłę. Już niema wśród nas artystki, która tworzyła i krytyka poprzestaje na skonstatowaniu, że tworzono dosyć, nie zawsze stosując ulepszenia w pracach.

„Zanadto zajmują mnie szczczegóły; od głównego przedmiotu odciąga mnie zawsze epizod, nie mogę sobie dać rady i nawiasami, plączę się w nich, jak tancerz niezgrabny w falbanach.tancerki“ (II. 389) taką charakterystykę pism tych można utworzyć ze słów autorskich, które zdają się być jak i cała powiastka (Bażanty Julka) lekko natuszowanem autorskiem „credo“ p. Chłędowskiej. To określenie rozciąga się oczywiście na wykonanie tematu, na jego przedstawienie w formie mniej lub więcej doskonałej, zaś sposób czerpania przedmiotu do prac uchyla się z pod surowego sądu samej autorki. Z czternastu nowelek, zamieszczonych w zbiorku, z wykluczeniem jednej, która należy właściwie do działu „głośnych marzeń“, lecz nie belletrystyki (Nienapisana powieść) wszystkie prawie za motyw zasadniczy mają „starą o wiecznie nowej treści“ — miłość, przeważnie nieszczęśliwą. Jest to pierwszy rys ogólny prac p. Chłędowskiej. Innej osi nie umiała ona wynaleść dla obrotu swoich myśli. Przyjrzyjmy się szczegółom. W „Pierwszej próbie“ stary hrabia ożeniwszy się z narzeczoną, opuszczoną przez synowca, sprowadza sobie w dom kłopot, młodą żonę, wikłającą się w sieci miłosnej z dawnym narzeczonym i podkochującą się w młodym wychowańcu hrabiego. Ten wychowaniec kocha się współcześnie w towarzyszce swoich lat dziecinnych i wreszcie ją zaślubia, Hrabina zwyciężywszy się, zostaje nadal wierną żoną. W „Lionorze“ bohater kocha się naraz w tytułowej bohaterce i kochance jakiegoś barona. W „Późnem żniwie“ Łucya kocha się w dwóch odrazu, wachając się z wyborem.

W „Swietnych aliansach“ Julia przed samem zamążpójściem kocha innego. „Dziecię Madonny“ opowiada losy człowieka, który w walce z uczuciem dla dwóch kobiet, zgubił jedną z nich. W fantastycznej noweli „Marysia“ — jej luby dzieli uczucie między dwie kobiety. „Babie lato“ — to walka kobiety pomiędzy uczuciem dla męża a trafiającego się kochanka. Nakoniec w „Historyi niebohaterów“ Ludwik współcześnie zapewnia dwie kobiety o stałem uczuciu: baletnicę i żonę fabrykanta.

Trudno zaprzeczyć, iż w życiu takie kolizye zachodzą, że artysta powinien je podchwytywać, ale przeładowanie jednostronnym balastem o tyle jest niepożądane, że osłabia zainteresowanie czytelnika. Po przeczytaniu trzech nowelek, jest się niemal przekonanym, że czwarta przedstawi nam te same kombinacye, w grę tylko wejdą inni ludzie.

Różnostronność więc charakterów powinna opłacać jednostronność tematu. Ale i tu doznajemy zawodu. Bohaterów potrosze to już charakteryzuje, że łatwo popadają w dualizm sercawy, bohaterki, po za tą samą specyalnością mają dar mówienia o miłości, jak o nabitym pistolecie. Rozmowy miłosne, prowadzone na tle uroczej natury mają cechę romansowości książkowej; jeżeli kiedy wypada opisać jakieś starcie silniejsze, autorka umyślnie je osłania gazą subtelnych półsłówek, odbierając plastyczność, a nadając ton trwożliwości i niepewności. To jest zapewne powodem, że bohaterowie i bohaterki w chwili ciężkich kryzysów sercowych ratują się najszybszą lokomocyą. To pomaga nadzwyczaj w rozwiązaniu fabuły, ale nie wyjaśnia natury bohatera. I tak Janusz (Pierwsza próba) uciekł przed miłością. „Impresyonistka“ umarła, (jest to wespół z „Ludwiką“ najlepsza praca w całym zbiorku) a jej wielbiciel wyjechał przedtem, nie mogąc się obliczyć z sercem. Filozof z „Babiego lata“ uciekł przed miłością. Malarz co się w „Lionorze“ kochał zrobił to samo. W „Niewydanych arcydziełach“, i „Maryi“ zachodzą też same kombinacye, a w „Ludwice“ uciekają od siebie małżonkowie.

Wskazując tu usterki w pracach p. Chłędowskiej, musimy też zwrócić uwagę, że sąd, który o sobie wydała w cytowanym ustępie, sąd żartobliwy, doskonale charakteryzuje kompozytorskie braki p. Chł. „zanadto zajmują mnie szczegóły“, „nie mogę sobie dać rady z nawiasami“ — powiedziano tam. W istocie nawiasów mnóstwo, a każdy długi i przeszkadza rozwojowi myśli głównej. Gubienie się w szczegółach jest ustawiczne, każda pracu okraszona jest cytatami z przeczytanego, do charakterystyki postaci brak nietylko faktu, szczegółu, ale nawet wyrazu — szuka się go w słowniku włoskim.

Te wszystkie wady łatwo jednak wytłumaczyć przytoczeniem okoliczności, wśród których p. Chł. nowele swoje pisała i drukowała. P. Władysław Łoziński w przedmowie do I. tomu wskazuje genezę powstania tego talentu i faz, jakie przechodził, a to co pisze mało jest znane. Pani Chłędowska w skromności swojej nie podpisywała się na pracach nazwiskiem, lecz literami Z. D. — „mąż był Merkurym literackim, jedynym powiernikiem blizki iego przyjaciel, redaktor dziennika, a cyfra pseudonymem nieśmiałej autorki“ (Prz. VIII.) — powiada p. Łoziński w przedmowie. Nic więc dziwnego, że wobec małego zainteresowania się u nas literaturą, wobec tajemniczości, jaką osłaniała swoją autorską działalność — dobrowolnie odsunęła wszystkie wpływy na swoją twórczość. Po skoncentrowaniu się w samej sobie, bez udziału krytyki, przy znacznem oczytaniu, badaniu życia przez okulary z góry podsunięte, sprawiła, że we wszystkich niemal pracach, obok niezaprzeczonych zalet, czuć pewną cieplarnianą atmosferę. Akcya wszystkich nowel rozgrywa się na terenie, który niewątpliwie najdostępniejszy był dla autorki, a jednak i tu w wykrojeniu postaci znać nieraz robotę wprawną, ale też i szablonową.

Mają jednak nowele p. Chł. ważne przymioty — są przedewszystkiem nowelami w budowie, powtóre budowa ta jest staranna, język czysty, nie nadający się wprawdzie do kolorystyki silnej, ale markujący wyraźnie. W malowaniu charakterów niewieścich, p. Chłędowska zdumiewa częstokroć trafną obserwacyą, podchwyceniem bardzo subtelnych rysów. To jedno już przemawia za jej talentem i jest dowodem, że w sferze dobrze sobie znanej była obytą. Ale ta sfera nie jest wystarczającą; po za życiem trephauzowem jest inne, pełne silnych uczuć, walk i dążeń. To życie dla talentu p. Chłędowskiej było niedostępne. W swoim zakresie doszła autorka do perfekcyj, które najlepiej kazały wróżyć o przyszłości — niestety złamanej śmiercią.

Wydanie książki ozdobne i poprawne z wyjątkiem kilku arkuszy drugiego tomu.

Wanda z Dowgiałłów Trzcińska. **Jurek**, *powieść społeczna. Kraków 1885. Nakład K. Bartoszewicza.*

(*sz*) Nie takie to dawne czasy, kiedy każdy utwór literacki, w śmielszy nieco sposób chłostający nasze wady, witano nietylko ozięble ale i niechętnie, kiedy przez wrodzony optymizm nie chciano wierzyć, aby w naszem społeczeństwie mogły się pojawić ujemne typy, w życiu ujemne fakta. Autora powieści lub nawet artykułu podobnego pomawiano o skrajny pessymizm, tendencyjne szkalowanie „społeczeństwa wyjątkowego“ i skazywano na zapomnienie, nie chcąc wierzyć, czy też niechętnie słuchając przypomnienia, że nasz ogół oddychając powietrzem, które wszystkim służy, te same, co i inni wdycha miazmaty, temi samemi żyje sokami umysłowego

pokarmu, które innym na złe wychodzą i dawno przestał być wzorem dla ludzkości. Co gorsza: raz przejąwszy się błędnem zapatrywaniem, że co się dzieje złego gdziekolwiek u nas miejsca mieć nie może — wytworzono fałszywy pryzmat uprzedzenia, przez który wady nieomal że się wydawały zaletami. Szczęściem dziś już podobne zapatrywania należą do ckliwych przesądów, trzeźwość poglądów na nasze życie społeczne wywołała konieczność oględnego badania ran własnych i radykalnego leczenia. W pomoc zjawia się piśmiennictwo, gotowe na chwilę ustąpić cząstkę z wymogów estetycznych, pozwalające literaturze nadobnej zejść na czas pewiem do wybitnej tendencyi i w przyprawie mieszanej podać społeczeństwu lekarstwo, którego w formie innej albo niechętnie bywa przyjmowane, albo pomijane.

A teraz kwestya, komu te lekarstwa zalecano i kto je odrzucał? Oczywiście ci, którzy zawsze uchodzą za „sfery wyższe, reprezentujące naród“ t. j. stan ziemiański. Najbardziej do ludu zbliżeni, mogąc na niego wpływ wywierać, najwięcej posiadając środków i częstych i skutecznych do korzystnego oddziaływania a na bieg interesów ogólnych, słusznie stawiani byli i na świeczniku i pod pręgierzem. Kto bowiem wywiera decydujący wpływ na nasze finansowe położenie, jeżeli nie ziemiaństwo? Od ich gospodarności, zapobiegliwości, fachowego wykształcenia a co najważniejsza, poczucia obywatelskości zależy dobrobyt posiadłości ziemskich, najważniejszej podpory w gospodarce narodu z roli żyjącego. Zwrócono się więc pilnie do kontrolowania czynności naszych reprezentantów, czyniono im uwagi, ale jak zwykle doradcy znaleźli się podwójni. Ci, którzy w zbytnim ferworze nadto gorąco, zbyt silnemi środkami poczęli pacyentów swoich leczyć i zwolennicy zasady „jakoś to będzie“, którym trwający stan rzeczy był przydatny w interesach własnych. Rozminięto się w środkach, podrażniono strony obie, a co najgorsza — nie posunięto kwestyi naprzód o tyle, żeby widoczne wydała rezultaty. Zwykły optymizm wziął górę; „nie jesteśmy tacy źli, jak nas malują, ci, którzy nas chcą poprawiać nie są od nas lepsi, bo nie cenią tradycyi“ i... usłuchawszy pochlebców, powrócono do zaspanego systematu gospodarczego. Oczywiście sen ten spokojny nie będzie, jeśli nie sumienie, jeśli nie poczucie obowiązku zbudzi gnuśnych, to w ich gronie znajdą się ludzie, którzy zrozumieją stan rzeczy, a znając dokładnie wady przedstawią je nam i zawstydzą śpiących. Takie „budziki“ są pożądane, takiego „budzika“ witamy w p. Trzcińskiej, autorce *Jurka*.

Powieść swoją rozsnuła ona na kanwie wyrazistej, dla uplastycznienia obrazu nie pożałowała farb jaskrawych, kontrastów silnych. Bohater odmalowany jest wyraźnie a sylwetkowe postacie otaczających, nadto są wybitne, aby nie tworzyły doskonałego dla głównej postaci tła. Powieść rozpada się na dwa główne odłamy; w jednym przedstawiono jaki ziemianin być powinien, w drugim, jak źle bywa, gdy takim nie jest.

Pokrótka treść rzecz wytłumaczy.

Prezes Zatorowski, człowiek zacny, poczciwy, szlachetny a i majętny, życie swe poświęca na spełnianie obowiązków obywatelskich, na niesienie pomocy włościanom swojej wsi i udoskonalenie gospodarstwa. Nie czyni tego z pobudek zysku osobistego, majątek mając znaczny i nie zostawiając innych sukcessorów, krom dwóch synowców.

Jeden z nich zapobiegliwy i uczciwy, drugi lekkomyślny, szaławiła, nieszanujący praw, nieliczący się z groszem, życiem i obowiązkami — to Jurek, strapienie stryja, główny jego sukcessor i bohater powieści. On to po śmierci prezesa obejmuje w zarząd dobra, które przy zapisie dostały się jego synowi, on życiem lekkomyślnem trwoni pracę skrzętnego stryja i burzy troskliwie przez nieboszczyka budowany gmach porządku, filantropii i uczynności. Nietylko jest on karciarzem, nietylko zaniedbuje gospodarswo, opuszcza obowiązki (on ich nie znał nigdy), ale zdradza żonę dla przelotnych miłostek już to z panną służącą, już francuzką, wreszcie panną Reginą, jedną z tych istot, które oczekując na męża, „tymczasem“ folgują popędom serca. Taki stan życia Jurka sprowadza katastrofę wprawdzie w powieści nierozwiązaną, ale nasuwającą koniec najmniej domyślnemu czytelnikowi. W chwili, kiedy ma nastąpić schadzka pomiędzy Jurkiem i Reginą, schadzka uplanowana przez pułkownikową, prowincyonalną „rajfurkę“ w pierzach uczciwości, Jurek, pijany, po nocy na banachalii przepędzonej, po tragicznej scenie wyrzutów za zniesławienie Julii (owa panna służąca) pada nieprzytomny na posadzkę. W takim stanie pozostawia go autorka, każąc się domyślać wszystkiego najgorszego, nie dając nadziei czy ten słaby chararakter zmężnieje, zmieni się, czy też brnąc w kale występków, własnowolnie zabijać się będzie. Obraz, jaki p. Trzcińska z umiejętnym realizmem przedstawiła jest przygnębiający, ponury ale prawdziwy; potężne sceny tragiczną grozą przejmują czytelnika i stwierdzają słuszność zdania, że realizm w nagości przedstawiony silniej może zohydzić złe i występek. Po przeczytaniu powieści doznaje się wrażenia przygnębiającego, bo przykro pomyśleć, że takie osobistości autorka znaleść mogła, ale ta pociecha jest zarazem, że ostrym skalpelem rany społeczne operując, dojdzie się do rezultatów dodatnich. Pani Trzcińska posiadając zapas niepospolitych zdolności może i powinna pisać dalej. W osobie autorki „Jurka“ przybywa nietylko zdolna kobieta ale i znakomita siła dla naszego powieściopisarstwa. Witamy ją tem chętniej, że poruszyła temat żywotny, ogół obchodzący, że wskazaniem wad spełniła obowiązek obywatelski. W budowie powieści znajdujemy nieodłączne od pierwszych debiutów usterki, nawet dość znaczne; usilną jednak pracą dadzą się one usunąć, czego szczerze byśmy pragnęli.

Prakseda. *Powieść przez Edmunda Chojeckiego. Poznań. 1885.*

Nie zapomniał Chojecki o społeczeństwie, z którego wyszedł i któremu zawdzięczał pierwsze zarodki swego talentu. „Zacząłem od polskiej powieści i na polskiej chcę zakończyć swą literacką działalność“ — wyraził się niedawno w liście do jednego z warszawskich pism.

Jedna z jego francuskich powieści „Prakseda“ ukazała się przed kilku miesiącami w polskim przekładzie, o którym niżej będzie mowa. Na teraz zajmiemy się samem dziełem sztuki.

Jest to historya dwóch kochających się serc — jak zwykle — lecz zajmująca czytelnika, bo rozwija się ona wśród minaretów Stambułu, bułgarskiej przyrody, wśród sprzymierzonych wojsk lądujących w Warnie, bo oświetlają ją nietylko gorące promienie wschodniego słońca, lecz i czerwone łuny pożarów i blask wystrzałów i dymne płomienie smolnych pochodni. Niezwykłą jest ona, gdyż parze kochanków ciągle zagraża śmiertelne niebezpieczeństwo, gdyż poza tą komnatą, w którejobsypują się całusami, i pieszczotami, wre walka tygrysów, nie ludzi i robią przygotowania do jeszcze większego boju — boju całej niemal Europy.

Słowem w opowieści tej miesza się wschodni, namiętny pierwiastek z słowiańską tkliwością i poezyą. Wszystko to zaś opromieniają prawdziwie francuski, lekki dowcip i werwa.

Zapoznajmy się z treścią

Polak, imieniem Rudolf, rozbitek — jak wielu innych — udaje się w r. 1854 do Turcyi, by walczyć pod zieloną chorągwią Proroka. Podczas swego pobytu w Konstantynopolu zapałał miłością ku córce starożytnej Hellady-Praksedzie. Wykradł ją zręcznym fortelem jej ciemiężycielom, ukrył w gronie przyjaznej sobie rodziny, a sam w stopniu majora wojsk tureckich udaje się na pole bitwy. Walczy mężnie w nadziei, że gdy pokój nastanie, on mając w piersiach poczucie wypełnionego obowiązku wróci i długim, namiętnym, wiecznym uściskiem połączy się z kochanką, a w jej śnieżnych ramionach znajdzie wypoczynek po trudach wojennych. Lecz los inaczej zrządził. Okryty pochwałą Omera-Baszy wraca Rudolf do Warny, by wśród kłębów dymu, lśniących snopów płomienia i deszczu iskier, jęku zgiełku, ochrypłych krzyków wściekłości i rozpaczy znaleść Praksedę..... umierającą z rany, zadanej jej ręką dawnego ciemiężyciela. Wśród dogasających zgliszczy, rumowisk, zaraźliwego powietrza i ludzi padających setkami na cholerę odgrywa się zakończenie tego w każdym razie niepospolitego utworu.

Z wyżej wymienionych słów łatwo spostrzedz, iż kompozycya jest zupełnie prosta. Nie szukać tutaj zawikłanych intryg, które wloką się od początku do końca książki, nie opierając się nawet na logicznej podstawie. Mamy wprawdzie i tu kilka niespodzianek, te jednak łatwo dadzą się wytłumaczyć wschodnim kolorytem powieści, są nawet jego nieuniknionym, koniecznym wypływem. Budowa utworu, jak powiedziałem, prosta, jest ozdobiona mnóstwem szczegółików, wyrzeźbionych z zamiłowaniem i prawdziwem uczuciem artystycznem. Akcya żywa, toczy się wartkim strumieniem, którego nurty nieubłagalnie posuwają się naprzód i nie zatrzymują się ani na chwilę, by nudzić czytelnika tyradami autora. Sam bohater od chwili poznania Praksedy, dziewicy o wytwornej postawie, twarzy przypominającej greckie płaskorzeźby, włosach kruczych i oczach czarnych a głębokich, znajduje się w kolizyi między silnem uczuciem dla kobiety i miłością dla ojczystej ziemicy. Nieraz w sercu bohatera toczy się walka gwałtowna, lecz krótka, gdyż z góry przewidzieć można, które uczucie zwycięży w sercu takiego, jak Rudolf, człowieka.

Teren, na którym opowieść się toczy, znany jest autorowi wybornie. Każde miasto, każdą okolicę, którą opisuje, widział; potem — po latach — przelał te rysy na papier z artyzmem prawdziwego pejzażysty. Nie wystarczają mu widoki; prowadzi on czytelnika do wnętrza stambulskiego ministerstwa, komnaty Seraskiera, to znów na ulice Stambułu, pełne błota, psów i obszarpanych osmaczlisów. Porzuca następnie miejsca publiczne, kilku dosadnymi wyrazami kreśli na pół zrujnowany dom Greków na przedmieściu Pera o ciemnych izbach i wąskich korytarzach, a dla kontrastu ukazuje nam jedną wprawdzie, lecz prześliczną komnatę z miękkimi stosami różnobarwnych poduszek, oponami, zwierciadłami, słowem, całym aparatem azyatyckiego przepychu. To siedziba pięknej Praksedy.

A cóż mówić o ludziach dopiero! Cały tłum najprzeróżniejszych postaci z wszystkich krajów, z wszystkich części świata niemal. Rozmaitość charakterów i typów olśniewa co chwila czytelnika. Przed oczami jego przesuwają się Grecy o ustach bez warg, brzytwą niby rozciętych, Turcy, cy-

anie, Francuzi, szkoccy żołnierze angielskiej królowej, a Polaków również nie pominięto.

Na tle tem różnobarwnem, ruchliwem odbijają się wydatniejsze osobistości pełne prawdy życiowej i trafnie scharakteryzowane.

Słowem jest to utwór doniosłej wartości. Najlepszym dowodem tego niech będzie, że tłumaczenie tak złe, iż niema w poskim słowniku na tyle dosadnego słowa, którem go nazwaćby można, nie zdołało popsuć licznych jego zalet.

Dość przytoczyć wyrazy jak: ruch *razporażny*, *niemnowile*, *praworność*, *prawornie*, rozmowa *wedwójna* itd., aby zrozumieć, jakie męki przechodzi biedny czytelnik. Całe okresy, wprost z francuskiego tłumaczone, są zupełnie niezrozumiałe. Krzywdę wielką wyrządzono tak znakomitemu styliście, jakim jest autor „Alkadara“ przez zamilczenie na tytule tej okoliczności, iż Prakseda jest powieścią tłumaczoną i to nie przez autora. **A. N.**

Józef Lubicz Orłowski. **Obrazki z życia ludu.** *Lwów 1885.*

„Inne czasy — inni ludzie“ rzec można śmiało z Jokajem. Do niedawna. Każdy pisarz, z małemi chyba wyjątkami, wstępując świeżo w szranki literackie, niósł w ofierze publiczności i krytyce jako pierwsze swe dzieło zazwyczaj jakiś wiersz. Dziś, mimo wszelkich narzekań na powódź wierszorobów,—piszących poezye jest coraz mniej. Dzisiaj występujący dyletanci literaccy nie od wierszy zaczynają, ulubionem polem ich popisów jest—nowella. Co się do tego przyczynia? Łatwo zgadnąć. Pozorna łatwość zwodzi niedoświadczone umysły. Nad przyswojeniem formy poetycznej pracować trzeba lat kilka; nowellę zaś — myśli sobie niejeden — to tak *łatwo* napisać.

Nie wynika ztąd jednak, by nie zwracać uwagi na pojawiające się młode siły, które chcą pracować na belletrystycznem polu. Owszem niejednę z nich do dalszej pracy zachęcić można, a nawet potrzeba, gdyż w naszych stosunkach za pomocą powieści jedynie da się szerzyć światło i zdrowe poglądy wśród publiczności, która z niechęcią przyjmuje poważniejszą strawę. Im więcej tedy pracowników, tem lepiej.

Dlatego też z pewnem zaciekawieniem przeczytaliśmy zbiór obrazków pióra p. Orłowskiego. W całym tym szeregu szkiców, mających malować wieśniaków i ich życie, dostrzegliśmy dość świeże, proste i niewymuszone zdolności, które wypadki codziennego życia owiewają poetycznym urokiem i umie ją jednać sympatyą czytelnika dla swych bohaterów.

Lecz jak każda pierwsza próba, tak i owe utwory posiadają pewne, nawet dość rażące wady, które jednak pracą autora usunąć się na przyszłość dadzą. Oto znać, iż p. Orłowski nie wpatrywał się w życie, jego bohaterowie są raczej bladymi cieniami wyobraźni, aniżeli ludźmi z krwi i kości, a jego wieśniacy miejskimi panami i paniami, poprzebieranymi dla własnej uciechy w kmiece siermięgi. Autor nie może odmówić sobie ze szkodą artystycznej formy uciecny przemawiania do czytelnika w pierwszej osobie. Dalej czuje on sam, że nie umie zamierzonej tendencyi należycie przeprowadzić. Bojąc się tedy, by go fałszywie nie zrozumiano, umieszcza na końcu każdego obrazka — jak w bajce — morał. Nie wszędzie obrabiany temat nadaje się do nowelli. Nie rozumiemy np. skąd wziął się w zbiorku obrazek p. t. „Zakład drohowyzki.“

Są to jednak wady, które z pewnością znikną i nie powtórzą się w przyszłych utworach p. Orłowskiego. Talent, gdy chce a chęci swe popiera pracą, może dokonać wiele i zawsze zyskuje uznanie.

Adam Bełcikowski. **Pierwszy sceniczny pisarz polski.** *Ks. Franciszek Bohomolec S. J. Warszawa 1885. (Odbitka z Ateneum).*

P. Adam Bełcikowski pracami swemi na polu krytycznem pozyskał sobie zaszczytne imię. Pisze niewiele, lecz wszystko, co wychodzi z pod jego pióra jest starannie obrobione, tak pod względem źródłowym, jak i formy samej.

W tym roku pomnożył on niebogatą historyą teatru polskiego ważnym przyczynkiem. Jest nim rozprawa, która pod wyżej wymienionym tytułem ukazała się naprzód w „Ateneum“, a później w osobnej odbitce. Przyjrzyjmy się tej treści.

Dnia 19 Listopada 1765 r. odbyło się w Warszawie otwarcie pierwszego polskiego teatru publicznego. Odegrano Józefa Bielawskiego *Natrętów*, lichą przeróbkę z „Les Facheux“ Moliera. Druga nieudolna tegoż autora próba p. t. *Dziwak* skłoniła reżyseryą do wydobycia na światło dzienne komedyj Bohomolca, nie pisanych zupełnie dla publiczności szerszej, dojrzalszej, używających jednak pewnej wziętości, ktorej dowodem były 3 wydania po rok wyżej wspomniany.

Ks. Fr. Bohomolec (nr. 1720 r.) był nauczycielem retoryki po kolegiach jezuickich. W 1752 r. losy — a raczej rozkaz przełożonych zakonu— przywiodły go do Warszawy. Tu kształcił on młodzież szlachecką na przyszłych mówców, a co zatem szło dygnitarzy. Do ważnych środków kształcenia młodzieży „w prezencyi i krasomóstwie“ należały w metodzie OO. Jezuitów przedstawienia teatralne. Na ten cel układano dyalogi, rozwijające jakiś dogmat religijny lub sentencyą moralną. Były to lichoty bez najmniejszej wartości literackiej. Tak stały rzeczy aż do czasów Konarskiego.

Mąż ten, wielce zasłużony w dziejach oświaty narodowej, zaprowadzając reformę wychowania nie usunął bynajmniej widowisk teatralnych, owszem uznawał całą ich doniosłość. Lecz i tu nie obeszło się bez zmiany, Miejsce doniosłych dyalogów zajęły tragedye Corneilla, Racina i Woltaira (1743), których część sam Konarski na język polski przetłumaczył. Jezuici, przyjmując reformę wychowania, usunęli i dyalogi, jako postępowi nieodpowiedne i poczęli przetrząsać bogatą już i wówczas literaturę dramatyczną Francyi. Gdy Pijarzy zajęli na wyłączną swą własność trzech największych dramatyrgów, synom Lojoli pozostał jedynie Molière. Na wybór zaś taki wpłynął zapewne i sam tłumacz, którego natura przechylała się więcej na stronę komicznej i humorystycznej, aniżeli tragicznej Muzy.

W szlacheckiej piersi szlachecko-polskie biło serce. Ksiądz profesor kieliszkiem i wesołą kompanią nie gardził bynajmniej, a mimo to przykładnem świecił życiem wśród tak repustnego społeczeństwa, jakiem było polskie za czasów Stanisława Augusta. W rozmowie szukający zabawy, a nie pedantycznych i oschłych rozumowań, porzucał karmazynów i zakonników, a najchętniej odwiedzał domy zamożnych wówczas mieszczan warszawskich. Lecz obracał się i w najwyższych sferach ówczesnego towarzystwa; dość nadmienić, że był stałym gościem obiadów czwartkowych. Zaszczyt ten spotykał go zapewne jako redaktora „Monitora i Wiadomości Warszawskich“, wydawcy dawnych historyków i autora znanych jeszcze z czasów ostatniego Sasa komedyj, choć tradycya niesie, że nie mało do tego przyczyniła się jego głośna swego czasu pieśń p. t. „Kurdesz nad Kurdeszami“.

Wziął się zatem Bohomolec do Molièra. Lecz, gdy Konarski tragedye francuskich mistrzów bez żadnych zmian na język polski tłumaczył, pierwszy trudniejsze zadanie miał przed sobą. Trzeba było owe komedye, które nieledwie dzieci grać i słyszeć miały, poddać bolesnej amputacyi z wielką ujmą ich artystycznej, a nawet satyryczno-humorystycznej wartości.

Tu pierwsze usuwał kobiety, a z niemi i miłość. Tam tylko, gdzie ta ostatnia prowadzi do małżeństwa, pobłażliwy autor zatrzymuje ją, oszczędzając sobie tem samem trudu i pracy. A miał ich poddostatkiem, gdyż taki cnotliwy koniec nie zbyt czysto znachodzi się u Molièra. W przeciwnym razie intrygę erotyczną zamieniał na jakąś inną. Kobiece role atoli zawsze są zastąpione w części przez role męskie, w części przez opowiadania, włożone w usta występujących męskich aktorów.

I charakter utworów molierowskich ulega częstej zmianie. Bohomolec liczy się — a zawsze nader trafnie — ze stosunkami i wyobrażeniami panującymi w Polsce. Ztąd ginie wszelka tendencyjność komedyj. Tak stało się np. z „Bourgeois-gentilbomme“, którego trudno poznać w przeróbce nazwanej *Pan do czasu*. A jednak w 10 lat później Bohomolec pisze tendencyjną komedyę, żądając w niej równouprawnienia mieszczaństwa i śmiało stawia czoło powstałemu ztąd niezadowoleniu. Dalej, aby nie sprawiać trudności młodocianym aktorom. skraca i opuszcza pełne dowcipu, cieniowania i subtelnej finezyi zdania, Molière więc wychodzi z pod skalpelu Bohomolca suchym i martwym.

Oprócz komedyj Moliera przerabiał Bohomolec utwory i innych autorów. Wcale udatną przeróbką jest komedya „na wzór włoskich“ ułożona p. t. *Arlekin na świat urodzony*. Jestto alegorya przybrana w szaty komicznego dyalogu.

Są jednak między temi „szkolnemi“ komedyami takie, które on „ze swojej osnowy robił.“ Wadą ich słabość i częsty brak akcyi dramatycznej ale niską wartość estetyczną tych utworów wynagradzają charakterystyczne rysy, zdjęte ze swojskich stosunków i obyczajów.

W pierwszej połowie XVIII. w. Francya niezmiernie wpłynęła na zmianę polskiego społeczeństwa. Lecz, że to były czasy Ludwika XV, a zatem więcej złego niż dobrego zaczerpnęliśmy z Zachodu. Bochomolec, jako karmazyn i ksiądz-pedagog, chłostał, ile sił starczyło, biczem satyry owe zaszczepione, społeczne choroby. Do kategoryi komedyi należą: *Figlacki, polityk teraźniejszej mody* dalej *Paryżanin polski*, *Urażający się niesłusznie o przymówki*, *Myśliwy*, *Junak.* Autor walczy tu przeciw zgniliźnie moralnej, lekkomyślności w postępowaniu, zbytniemu strojeniu się i francuzczyźnie. Tej ostatniej jeszcze dotychczas u nas nie wyparto!

Cały zbiór „szkolnych“ komedyj wyszedł z druku w 1755 r., przedtem zaś były one „na różnych teatrach wyprawione.„ Mowa tu, rozumie się, o teatrach szkolnych. A jednak Bogusławski stwierdza, że grano je i na scenie narodowego teatru w Warszawie. Mianowicie w zimie 1765 na 6 po nieudałych próbach Bielawskiego zaprowadzono przed publicznością „szkolne“ komedye ks. Jezuity. Lecz i te nie znalazły poklasku, boć przecie dla młodzieży tylko były pisane.

Bibliografowie wyliczają, że w latach 1766 i 1767 powstały: *Małżeństwo z kalendarza*, *Marnotrawca*, *Staruszkiewicz*, *Staruszka młoda*, *Nagroda cnoty (?)*, *Ceremoniant*, *Monitor*, *Czary*, *Pan dobry* i *Pijany*. Dużo z nich jednak zaginęło, znane są jedynie „Małżeństwo z kalendarza", „Staruszka młoda", i „Monitor". Pierwszą z nich odegrano 4 marca 1766 r. Ten to właśnie utwór dla swej postępowej tendencyi ściągnął na jego głowę gromy niezadowolonych konserwatystów, gdyż autor ośmieszał w nim nie wady ogólnie ludzkie, lecz specyalnie narodowe i wyobrażenia, które niedawno uchodziły za świętość w oczach szlacheckiej kasty. Ganił tedy: ciemnotę średniej szlachty, zabobonność i stanowczą arogancyą; a oprócz tego przypomniał szlachcie, że prawie na równi z nią stoi stan, o którym ona i słyszeć nie chce — mieszczaństwo. Czyni zaś to z wielką odwagą i w sposób dosadny a drażliwy. W ogóle zdania, które autor w tej sztuce wygłasza, zgadzają się w zupełności z wyobrażeniami politycznemi króla, ztąd domysł, że to on sam skłonił Bohomolca do napisania tej komedyi.

„Staruszka młoda" już niema takiej tendencyi społecznej, co poprzedni utwór, lecz jest obrazkiem, odtwarzającym modne warstwy społeczeństwa polskiego z tych czasów. Motyw do niej użyty przypomina „Hrabinę d'Escarbagnas" Moliera. Wreszcie „Monitor", komedya w 1-ym akcie, jest apologią gazety o takimże tytule, redagowanej przez Bohomolca. Organ ten, zaszczepiając zdrowe postępowe zasady i krytykując wady narodowe, niechętnie był widziany przez zaślepioną w konserwatyźmie szlachtę. Bohomolec chciał więc wykazać niechętnym, o ile ich uprzedzenie i kwasy są bezpodstawne.

Bohomolec był również pierwszym polskim librecistą. W 1770 r. napisał *intermezzo* w 1ym akcie z kilku piosnkami p. t. *Nędza uszczęśliwiona*, lecz dopiero w kilka lat później (1778) Kamieński dorobił do niego muzykę.

Teatr był zawsze ulubionem zajęciem Bohomolca, po kolegiach jezuickich bywał on dyrektorem i reżyserem teatrów szkolnych, a pod koniec życia pełnił podobne obowiązki w teatrze korpusu kadetów na usilne żądania króla.

Taką, o ile w głównych zarysach zmieścić się mogła, jest treść tego nader zajmującego szkicu. Na tle żywota skromnego księdza rozwija się przed naszymi oczyma plastyczny obraz epoki, tak ciekawej ze wszech miar. Wnikamy i w życie wewnętrzne społeczeństwa i ex publicis wiele mamy szczegółów zręcznie ugrupowanych. Autor zapoznaje nas ze stanem kiełkującej zaledwie sceny i literatury dramatycznej, szkicuje kilkoma, lecz potężnymi rysami zepsucie i wady ówczesnych ludzi, a przy sposobności zaznajamia nas z metodą dawnego wychowania. Dużo też zajmuje miejsca pracowite porównanie komedyj Molièra i Bohomolca. Autor rozbiera szczegółowo kilka ważniejszych sztuk naszego księdza i wykazuje trafnie, która scena jest oryginalna, a która zapożyczona lub wprost przetłumaczona.

P. Bełcikowski — powtarzamy raz jeszcze — umiał połączyć pożytek z przyjemnością, nadał pracy źródłowej wdzięczną i powabną formę, a tem nie każdy z naszych uczonych pochwalić się może. Dlatego pracę tę gorąco polecamy naszym czytelnikom.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Występy pp. **Myszugi i Pauli.** *Wykonanie* **Konrada Wallenroda. Wesele Oliwetty Rip-Rip. Halka. Krakowiacy i Górale.**

(sz) Końcowe występy pn. Russel przyniosły nam pewną rozmaitość; poznaliśmy dzięki dyrekcyi lwowskiej p. Paulego, barytonistę i przypomnieliśmy sobie p. Myszugę, dzięki p. Russel, która jako benefisantka przywabiła warsz. tenora na jednorazowe wystąpienie. P. Pauli nie sprawił wrażenia, jakiego się spodziewano po sprowadzonym *ad hoc* śpiewaku. Ani jako hr. Luna (Trubadur), ani jako Rigoletto nie zmienił przekonania o sobie, że ma głos skali nierozległej, ustawicznie tremolujący, do wybuchów dramatycznych prawie że niezdolny a przytem niewyraźne frazowanie i akcyą jednostajną, nie obmyślaną. P. Myszuga szybko dążący do popularności występami w Wiedniu i powodzeniem w Warszawie, nie zmienił się od czasu, jak go słyszeliśmy na dwóch koncertach. Jak wówczas, tak i w partyi Edgara przedstawił nam się jako *tenore di grazia*, zdobywający się jednak bez wysiłku i trudności na atakowanie dźwięków bohaterskich. Mimo przebytej drogi i nieobeznania z warunkami sceny krakowskiej, p. Myszuga zarówno w scenie zbiorowej aktu przedostatniego, jak i końcowej aryi (Łucya z Lamermooru) podbił widzów szczerym zapałem i grą inteligentną.

Tempie głosu p. M. jest przyjemny i ułatwia niezmiernie śpiewakowi zdobycie uznania, do czego niemało się przyczynia umiejętność śpiewania.

O „Konradzie Wallenrodzie" zdanie wyrzekł „Przegląd" w czasie wystawienia tej opery we Lwowie (patrz Nr. 3, 4, 5, 6 z r. b.) tamże wskazano usterki wystawy i wykonawców.

P. Floryański, twórca pierwszy bez poprzedników scenicznej osoby Konrada za mało posiada przymiotów szkoły śpiewania aby mógł w zupełności odpowiedzieć tak trudnej partyi. Do wykonywania „muzyki przyszłości" niema u nas pokolenia śpiewaków, ale jak na siebie okazał zasoby głosu, potrzebującego kierunku, niezaprzeczony zapał i siłę, obok nieliczenia się z warunkami akcyi i dykcyi przy wykonaniu oper dramatycznych [w dwójnasób koniecznych. To samo prawie powiedzieć można o p. Kasprowiczowej, z tą różnicą, że głos śpiewaczki w partyach tej skali jak Aldony brzmi nie pełno, nie sprawiając wrażenia śpiewu, lecz deklamacyi, przerywanej śpiewem.

O ile partya Halbana leżała w naturze głosu p. Guberskiego, o tyle ją śpiewał poprawnie, nizkie tony szwankowały bardzo. P. Kiczman lepiej grał, jak śpiewał, chociaż nigdy nie słyszeliśmy go tak starannie śpiewającego. Wystawie zarzucićby można wiele, część winy jednak spada na nieproporcyonalność kulis lwowskich w stosunku do obszaru naszej sceny. Chóry wyćwiczone wprawną ręką p. Jareckiego, który przy wystawie opery wielkie położył zasługi, pod względem zachowania raziły lekceważeniem poważnego nastroju opery, ciągle przypominając operetkowe przyzwyczajenia.

Czy niema sposobu na poskromienie swawoli?

W epizodycznych partyach pni Bocskaj i pn. Praunówna szczęśliwie się prezentowały. Co do pn. Praunównej, to chętnie widzielibyśmy młodą śpiewaczkę w repertuarze seryo, w stadyum sumiennych studyów, systematycznych, na które głos jej zasługuje.

Audran niema szczęścia w Krakowie. „Pierścień rodzinny" nie podobał się publiczności dla swobodnego libretta (czy nie fałszywa skromność?), a „Wesele Oliwetty" i dla libretta dość niezręcznego i dla muzyki, mniej interesującej.

W wykonaniu wzięła udział p. Bocskaj, specyalnie oklaskiwana za śpiew o „Marynarzu z St. Malot", p. Alma, p. Fontana, p. Myszkowski i pn. Praunówna — wszyscy ze starannością partye przygotowali ale nie ocalili tego, co uratować trudno. Takiż los spotkał „Rip-Ripa" Planquetta, ale tu libretto zawiniło najwięcej,— jest wprost niemożebnie nudne. Muzyka zręczna nie wystarcza, trzeba było czegoś na dodatek. P. Myszkowski w tytułowej, nie komicznej roli, choć sumiennie grał, ale braku głosu nie zastąpił grą, a tego tam było potrzeba. P. Bocskaj traktowała partyą Nelly starannie, a p. Floryański z pn. Praunówą stanowili dobraną parę.

Eksperymentem ryzykownym było wystawienie „Strasznego dworu" i „Halki", że nie nastąpiło *fiasco*, wielkie szczęście a zasługa prawdziwa muzyki i orkiestry. Słucha się tego Moniuszki i „duchem i słuchem" ot, dlaczego jego utwory mają powodzenie, choć z gorszymi wykonawcami. P. Alma w „Strasznym dworze" pożegnał publiczność, udając się do Wiednia, na pożegnanie śpiewał swą partyą z uczuciem i czystością wielką, P. Floryański zaś Jontkiem podbił publiczność. Nie uczyniła tego p. Kasprowiczowa „Halką", mimo widocznej pracy i starań w stydyowaniu partyi.

Przedstawienie „Krakowiaków i Górali", Kamieńskiego (muzyka Kurpińskiego) zakończyło pobyt lwowskiej operetki wśród nas, — grano, tańczono i śpiewano z zapałem „pożegnalnym." Najleniwsi śpiewali i ruszali się.

Reasumując nasze zdanie o operetce, która temi przedstawieniami zamknęła swą działalność, przyznajemy, że ma ona wiele braków ale niemało dobrych stron. Do pierwszych zaliczamy chóry, do drugiej zebranie kilku sił prawdziwie zdolnych. Kierownictwu w osobach pp. Jareckiego i Sachorowskiego należy się uznanie za staranny repertuar, wszystkim: do widzenia!

ROZMAITOŚCI.

Sztuka i literatura:

— **Katedra.** Dzienniki lwowskie przed kilku dniami o ze wszech miar pożądanym fakcie powołania prof. Dra p. Chmielowskiego na katedrę literatury polskiej w tamtejszym Uniwersytecie a to na miejsce prof. R. Pilata, złożonego od dłuższego czasu ciężką chorobą. Dowiadujemy się jednak w ostatniej chwili, iż prof. R. Pilat po powrocie z Fürstenhofu ma się znacznie lepiej i na zimowe półrocze zamierza ogłosić wykłady.

— **P. Władysław Mierzwiński** wystąpił kilkakrotnie na scenie lwowskiej. Dzienniki miejscowe uległy wpływowi warszawskich w zachwytach nad wysokiem c śpiewaka.

— **P. Walerya** powieść Bałuckiego drukuje się w „Kłosach"; tegoż autora nowelkę *„Szpital waryatów"* zamieściła „Gaz. polska" a *„Pogrzeb przyjaciela"* „Kur. codzienny".

— **M. Nordau'a** głośne dzieło pt. *Paradoxy* ma się ukazać w polskiem tłumaczeniu.

— **Pereł humoru polskiego** zeszyt I. tomu III. ukazał się w druku.

— **Druga serya** nowel Hajoty ma się niebawem ukazać.

— **Bol. Prusa** nowelle wyjdą w zbiorowem wydaniu, nakładem spółki wydawniczej w Warszawie.

— **Halkę** wystawić mają w Wiedniu; tytułowej roli podjęła się podobno p. Kochańska. O ile pamiętamy, p. Hovorka czynił starania o wprowadzenie nieśmiertelnego tworu Moniuszki na scenę czeską.

— **Król dziadów**, obraz sceniczny p. Dorowskiego, przerobiony z powieści Dzierzkowskiego nie podobał się krytyce warsz., która mu zarzuca niesceniczność. Chwalą jednak muzykę A. Wrońskiego, skomponowaną do powyższej sztuki.

— **Mecenasi.** Odnaleziono rękopis powieści Dzierzkowskiego pod tym tytułem. P. K. Ostaszewski opisał skrypt w „Dzienniku polskim“.

— **Nigdzie mu dobrze nie było.** Pan Gawalewicz (Quis) kreśli w „Bluszczu“ pod takim tytułem życie człowieka, który w ciemnych barwach życie widząc, nigdzie nie może wytrwać i zadowolnić swoich wymagań. Swobodny tok opowiadania, który staje się specyalnością utalentowanego nowellisty i dramaturga nadaje całości barwę sympatyczną. Tegoż autora jednoaktowy dramat „Barkarola“ przełożony został na język niemiecki i ma być wystawiony na otwarcie sezonu „Deutsches Theater“ w Berlinie. Zapowiadają ukończenie przez p. G. dwóch jednoaktówek (Piosenka, Figiel Beneseta) i nowelki „Mimi“.

— **P. Skalski**, wesoły kuplecista postarał się o zebranie produkcyj swego humoru w osobnej książeczce. Jest tam wiele okolicznościowego dowcipu a niemało zdrowej satyry. Książeczka budzi wspomnienie wesołych chwil, w teatrze spędzonych.

— **Pan Unierzyski**, młody malarz wystawił swój obraz „Droga krzyżowa“, który po za drobnemi usterkami technicznemi wyróżnia się oryginalnością kolorytu i niezaprzeczonemi zaletami charakterystyki osób.

— **P. Stasiak** wystawił pierwszy większych rozmiarów obraz „Bez naboju“. O ile pomysł kompozycyi zasługuje na wyszczególnienie, o tyle samo malowanie na poprawki.

— **Wyprawy kąpielowe**, komedya p. Zygmunta Przybylskiego przedstawioną została w jednym z teatrzyków warsz. Krytyka podnosząc zalety tego utworu, przyznaje autorowi łatwość pisarską i wiele trafnej obserwacyi. Tenże autor napisał jednoaktówkę pt. „Pst“.

— **Medytacye** Adama hr. Łosia wyszły z druku; są to pogadanki o kwestyach ogół obchodzących, pisane na sposób fejletonowy z niemałym zasobem dobrej woli, szlachetnych tendencyj i gadatliwości, w niektórych miejscach niepowściągliwej. Całość sprawia wrażenie dodatnie i przypomina książkowe wydania fejletonów tygodniowych.

— **Laszka**, poemat Wł. Wysockiego pełen barwnych opisów i pięknej liryki ukazał się w miniaturowem wydaniu.

— **Kasa pomocy dla osób pracujących na polu naukowem imienia Dra medycyny Józefa Mianowskiego.** Mamy przed sobą trzecie sprawozdanie za rok 1884 z czynności komitetu zarządzającego, na którego czele stoi Tytus Chałubiński jako prezes. Kasa ta liczyła z końcem 1884 r. członków *założycieli* 70, *honorowych* 80, członków *rzeczywistych* było nominalnie 1002, opłacających zaś składkę tylko 672. Przychód w roku 1884 wynosił 20.381 rs. 76 k. Rozchód 17.223 rs. 85 k., z której to sumy użyto 16.557 rs. 25 k. na pożyczki i zapomogi, a 665 rs. 70 k. na wydatki administracyjne. Oprócz tego rozporządza kasa papierami publicznemi dwojakiej kategoryi. Do pierwszej należą papiery, nabyte z funduszów kasy, w ilości 13.000 rs., do drugiej zapis J. N. Jaśkowskiego jako fundusz wieczysty z prawem dyspozycyi procentami, wynoszący 15.000 rs. 50., oraz rs. 14 k. 61 w gotowiźnie. Z pomocy kasy korzystali w ciągu 1884 r. następujący pp. Henryk Merczyng, Bronisław Chlebowski, Antoni Elzenberg, Franciszek Kamieński, Mieczysław Kowalewski, Gustaw Kośmiński, Wilhelm Lubelski, Faustyn Rasiński, Henryk Silberstein i Jan Trejdosiewicz. Wszystkim tym uczonym udzielono po większej części pożyczki bezprocentowe. Oprócz tego z pomocą pożyczki lub zapomogi kasy ukazały się liczne dzieła z dziedziny nauk ścisłych.

Na końcu sprawozdania umieszczono życiorys Jakóba Natansona prof. b. Szkoły Głównej, który był jednym z głównych założycieli kasy, a w testamencie uczynił dla niej zapis 30.000 rs. na wieczysty fundusz wynagradzania najlepszych polskich dzieł naukowych. Cześć jego pamięci.

Widzimy z tego, że kasa rozwija się nader pomyślnie i zasługuje na poparcie ogółu. Wszelkie datki lub składkę roczną w ilości 5 rs. przyjmuje *Karol Deike. Warszawa. Włodzimierska, 7.*

— **Zbiory nowel.** Niebawem ukażą się zbiory nowel: pp. Gawalewicza i pani Morzkowskiej.

Autorki polskie, dzieło dra Chmielowskiego wyszło już z druku staraniem „Spółki nakładowej“ w Warszawie i zawiera siedm życiorysów zasłużonych kobiet.

— **P. Morzkowska** zamieściła w „Świcie“ studyum o „trzech nowellistkach“.

— **P. Leopold Świderski**, autor „Ojcowizny“ napisał nową komedyą: „Demokraci“.

— **P. A. Trapszo**, b. dyrektor trupy prowincyonalnej napisał pięcioaktową sztukę p. t. „Świat dziadów“.

— **Król w Nieświeżu**, tytuł najświeższej powieści J. I. Kraszewskiego.

— **Vanitas**, najnowsza rzeźba p. Tadeusza Błotnickiego wystawioną w salonie Tow. P. Sz. P. Przedstawia młodą kobietę, o kokieteryjnem spojrzeniu, przeglądającą się w podręcznem lusterku.

— **P. Władysław Żeleński** pisze nową operę p. t. „Balladyna“. Libretto ma być zaczerpnięte z tragedyi Słowackiego; pracuje nad niem podobno prof. German.

— **O Narzymskim** zamierza studyum jeden z recenzentów warszwskich, pod pseudonymem *Incognitusa*, pisujący sprawozdania teatralne w „Gazecie polskiej.“

Z prasy:

— **Echo teatralne** zamieszcza interesujące sylwetki ze świata artystycznego.

— **Kuryer warszawski** drukuje powieść Rogosza *Ciche tragedye.*

— **W świat, w świat!..** „Dziennik polski“ ukończył w odcinku swoim powiastkę pod powyższym tytułem; nieznana autorka, ukrywająca się pod pseudonymem *Dzierzby* zdradza wybitne zdolności i niezaprzeczoną wprawę tworzenia. Opracowanie dość pospolitego tematu dało jej możność rozwinięcia zasobów obserwacyi, często trafnych. Główna postać bohaterki sympatyczna, szkoda, że zakończenie szablonowe i niezręczny wybieg użyty przez jedną z osób (Dora) dla pozyskania drugiej (Paweł) osłabiają wrażenie; po za tem całość rokuje autorce przyszłość.

— **Gazeta narodowa** zamieściła nowelle: „Człowiek i kamień“, Bonawentury Kopcia, tudzież „Nieznajomą“, Krystyny.

— **Kuryer lwowski** w niedzielnych numerach zamieszcza sylwetki społeczne Bol. Czerwieńskiego.

— **Gazeta lwowska i Kłosy** drukowały współcześnie opowiadanie Lubowskiego, „Przyjaciel męża“; Gazeta drukuje je pod tytułem „Gdzie wina?“

— **Swit** zamieścił nowellę p. Rodziewiczównej: „Farsa p. Heni.“ zasługującą na uwagę.

— **Tygodnik powszechny** wyróżnił się korzystnie przy illustracyi obchodu 300-go przedstawienia „Halki.“ Rysunek p. Jankowskiego zamieszczony z okolicznościowej rocznicy w „Tygodniku“ odznacza się smakiem właściwym temu illustratorowi a zarazem rzadko u niego spotykaną pomysłowością. „Grzechy królewskie“ w temże piśmie drukowane zaciężą na sumieniu redakcyi. Po ich ukończeniu rozpoczęto powieść L. Sowińskiego „Na rozstajnych drogach“.

— **Kuryer warszawski** zamieścił pełen trafnych myśli artykuł p. Choińskiego „O upadku krytyki literackiej“. Autor, narzekając na rozwielmożnienie się w prasie warsz. *teatromanii* ubolewa nad pomijaniem prawdziwie ważnych zjawisk życia społecznego a także ruchu literackiego, który nie znajdując poparcia i zajęcia zamiera w apatyi i zapomnieniu.

Smutny ten w istocie objaw zauważyliśmy, dając krótką wzmiankę w tej kwestyi naszego korespondenta warszaw. w numerach styczniowych „Przeglądu.“

— **Przegląd tygodniowy** zamieścił obszerną ocenę nowego wydania dzieł A. Mickiewicza. Zdaniem autora recenzyi, p. Biegeleisena, wydanie zaleca się... mnóstwem błędów... To samo zdanie wypowiada dr. Chmielowski w „Ateneum“.

Zmarli:

— **Marya Bartusówna**, utalentowana poetka i nowelistka we Lwowie.

— **Klemens Kantecki**, kustosz biblioteki Tow. przyjaciół nauk w Poznaniu.

— **Zygmunt Siemiński**, dziennikarz w Warszawie.

Adam Rzążewski, literat, autor wielu szkiców literackich i historycznych, pisujący pod pseudonymem **Aër**, zmarł w Paryżu.

Emanuel Herncisz, artysta-malarz, uzdolniony autor „Wyświeconej“ zmarł w dniu 19 b. m. w Krakowie.

— **Faustyn Świderski** (ex bocian) zdolny humorzysta.

OD REDAKCYI.

Długo musielibyśmy wyliczać powody, które wpłynęły na takie opóźnienie „Przeglądu“, że Numera za Sierpień wydajemy w Grudniu. Nie będziemy przeto nużyć czytelników, a tylko ich uwiadamiamy, iż w r. b. wyjdą jeszcze Nra kończące kwartał IIIci r. b. Numerów za kwartał IVty całkiem nie wydamy, a zaczniemy wydawać „Przegląd“ regularnie od Nowego Roku. Prenumeratę złożoną za kwartał IV. r. 1885 przeniesiemy na kwartał I. 1886. — Inaczej nigdybyśmy nie byli w stanie wyrównać zaległości.

Autorzy i wydawcy, pragnący wzmianki o swoich pracach i nakładach w „Przeglądzie lit. art.“ zechcą takowe nadsyłać pod adresem redakcyi:
Ulica Sławkowska, hotel Saski.